

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VII

Warszawa, 28 października 1951 r.

Nr 43 (309)

Dominik HORODYŃSKI

# Jeszcze jeden egzamin dojrzałości

WYDAWAŁOBY się, że egzamin dojrzałości zdaje się raz. Często ulegają temu złudzeniu młodzi ludzie, gdy z ulgą i radością odbierają z rąk dyrektora świadectwo maturalne. Nie potrzeba jednak ani wielkich wydarzeń historycznych, ani wyjątkowych przeznaczeń abiturienta, by przekonał się rychło, że egzamin dojrzałości przychodzi mu zdawać coraz częściej i z coraz trudniejszych przedmiotów.

Jest rzeczą niewłaściwą i szkodliwą porównywać życie narodu do życia człowieka. Tylko skrajni nacjonalści z okresu degeneracji myśli mieszczańskiej — okresu przed-faszystowskiego i faszystowskiego — przypisywali narodowi cechy osobowe i traktowali naród w takich kategoriach moralnych, w jakich traktować można tylko człowieka. Życie ludzkie jest jedną wielką próbą i ciągłym właściwie egzaminem. Dzieje narodów mają długie okresy spokoju i odprężenia, mają też chwile, w których jeden wysiłek następuje po drugim, cała seria egzaminów jednocześnie. Takie okresy nazywają się trudnymi, lub „historycznymi” — a jeśli naród przejdzie przez nie zwycięsko, wtedy otrzymują one w jego dziejach miano wielkich. Różne są losy narodów. Szwajcaria od stu przeszło lat przechodzi przez swój okres spokoju i bezpieczeństwa. Naszej generacji Polaków wypadło żyć w momencie, w którym Polska przeżywa wyjątkowo trudny i odpowiedzialny etap swych niełatwych dziejów. Od nas zależy, czy historia Polski nazwie kiedyś nasz czas okresem wielkim.

### WYJĄTKOWA SZANSA I WYJĄTKOWE ZADANIA

Upadek państwa hitlerowskiego i powstanie rządów ludowych w Europie wschodniej stworzyło wyjątkową koniunkturę dla Polski. Zjawia się możliwość odrobienia w krótkim stosunkowo czasie zapóźnienia cywilizacyjnego i społeczno-gospodarczego. Przez setki lat Polska wlokła się na szarym końcu rozwoju gospodarczego Europy. Przez świat przechodziły wielkie przemiany, coraz lepiej i więcej wytwarzały fabryki, powstawały nowe gałęzie przemysłu, nowe sposoby budownictwa, nowe metody uprawy roli — u nas, jak za króla Ówczeka, wiązało się koniec z końcem, pracowało na starych maszynach i uprawiało rolę sposobem piastowskim; z rzadka coś nowego przenikało do zacofanego i biedniejszego kraju. Przyczyny tego stanu rzeczy są znane. Rozkład Rzeczypospolitej szlacheckiej w XVIII w., 150 lat rozbiorów i wyzysku przez państwa zaborcze, słabość Polski dwudziestolecia uzależnionej od obcego kapitału i wreszcie dewa-

stacja ostateczna okupacją hitlerowską.

Dlaczego mimo straszliwego zniszczenia kraju przez wojnę nasza generacja Polaków miała i ma szansę nadrobienia wiekowego zacofania Polski? Szereg przyczyn na tę możliwość się składa. Nowe korzystne granice dały nam zdrową bazę geograficzną. Rewolucja społeczna umożliwiła wykorzystanie wszystkich sił ludzkich całego kraju. Nie ma bezrobocia, przeludnienie wsi stale się zmniejsza. Dzięki ofiarności i wysiłkowi całego społeczeństwa wydajność pracy znacznie wzrosła. Gospodarka planowa zespała wysiłki i zamierzenia w jednym celowym kierunku. Plan gospodarczy obejmuje całość zagadnień. Wykonuje się więc przede wszystkim te zadania, które są najpilniejsze i najważniejsze, nie dopuszcza się do rozwoju jednych dziedzin gospodarki ze szkodą dla innych. Wreszcie po raz pierwszy zwraca się uwagę na postęp techniczny. Polski czy obcy kapitalista nie myślał wcale o tym, by wytwarzać więcej, lepiej i taniej, ale o tym, żeby z włożonego raz kapitału ciągnąć jak najdłużej i jak największe zyski.

Najlepszym dowodem, że szansa nasza jest wyjątkowa, do dotychczasowe dzieło gospodarcze Polski Ludowej. Powstały nowe mosty i drogi, nowe wielkie fabryki, a nawet miasta, jak Nowa Huta czy Nowe Tychy, odbudowuje się Warszawa, elektryfikuje się wieś, rosną nowe szkoły i dzielnice mieszkaniowe. Równocześnie znika analfabetyzm, wielokrotnie zwiększają się nakłady książek i pism, które docierają do mieszkańców robotniczych i chat chłopskich, docierają tam, gdzie nie docierały dotąd nigdy. Dziesiątki i setki tysięcy młodzieży, w swej ogromnej większości młodzieży robotniczo-chłopskiej, uczy się w szkołach i uniwersytetach, korzysta ze stałej opieki państwa. Wszystko to są osiągnięcia dotychczas w naszym kraju nieznanne. Jest rzeczą jasną, że nie przychodzą one za darmo ani łatwo.

Czytelnicy nasi dobrze wiedzą, że nigdy nie pisaliśmy, jakoby życie w Polsce słało się jak po różach, jakoby sytuacja nasza była „sielska-anielska”. Nigdy tak nie pisaliśmy, bo nigdy tak nie było. Życie w Polsce jest trudne i ciężkie, pełne ofiarności i konfliktów. Lecz Polska przed sobą innej drogi nie ma. Albo w krótkim czasie przekształcimy Polskę w nowoczesne, bogate państwo — albo stracimy wyjątkową szansę historyczną. Nikt nam Polski bogatej i mocnej nie da. Musimy ją zdobyć własną pracą, pracą ciężką i pełną wyrzeczeń. Jeśli się na nią nie zdobędziemy, zostawimy Polskę słabą i bezbronną w wyjątkowo trudnym okresie dziejów Europy. Straszliwy byłby wyrok historii na tych Polaków, którzy dzisiaj chcie-

liby zrezygnować z dalszego wysiłku rozbudowy gospodarczej kraju.

### TRUDNOŚCI GOSPODARCZE

W ostatnich tygodniach pojawiły się na rynku poważne braki aprowizacyjne, utrudniające życie ludzi w Polsce. Codziennie słyszymy rozmowy, że życie jest drogie i męczące, trzeba wystawać w ogonkach za masłem i mięsem, że brakuje tego i owego.

Sprawę tych trudności rynkowych omówił i zanalizował wicepremier Minc w swym wystąpieniu z dnia 9 bm. nie ukrywając, że kraj nasz przechodzi przez okres trudny, wymagający wysiłku i ofiarności.

Przyczyny obecnych trudności rynkowych są dwojakie. Pierwsze wynikają z nieuniknionej dysproporcji między rozwojem naszego przemysłu, a tempem rozwoju rolnictwa w pierwszym etapie przebudowy kraju rolniczego w przemysłowy. Drugie — to przyczyny koniunkturalne, przejściowe, wynikające z niedoboru ziemiaków i złych zasiewów spowodowanych wyjątkową suszą oraz z pewnego zahamowania hodowli świń na przełomie 1950/51. Dlatego trudności aprowizacyjne, które zapowiadały się jako krótkotrwałe przed dwoma miesiącami, dziś trzeba ocenić jako dłuższe, gdyż skutki obecnej suszy odbiją się w r. 1952.

Cyfry podane przez wicepremiera Minc'a warte są przemyślenia. Przy znacznie większej ludności ilość pracowników zatrudnionych poza rolnictwem wynosiła przed wojną 2.773.000 w stosunku do 5.200.000 obecnie. Przy tym coroczny przyrost tej ludności odbywa się w tempie bardzo szybkim, np. w 1951 r. ponad pół miliona ludzi przeszło ze wsi do przemysłu, transportu, budownictwa itp. W roku 1931 ludność rolnicza stanowiła 61,4% całej ludności, już w 1950 roku 54,25% całej ludności stanowiła ludność nierolnicza. Ten znaczny wzrost ludności poza rolniczej wywołany szybkim uprzemysławianiem znacznie zwiększa zapotrzebowanie na produkty rolnicze. Z natury rzeczy produkcja rolnicza nie może tak szybko wzrastać jak przemysłowa. W szczególności produkcja rolnicza oparta głównie na drobnych, indywidualnych gospodarstwach chłopskich nie będących w stanie stosować w pełni nowoczesnych metod uprawy roli.

Blokada gospodarcza stosowana przez przemysłowe państwa bloku amerykańskiego w stosunku do krajów Demokracji Ludowej, a więc i do Polski, jak zrywanie kontraktów, niewykonywanie zawartych umów — od szeregu lat utrudnia nasze planowanie. Trzeba też wziąć pod uwagę, że Polska

jest w pierwszym okresie gospodarki planowej, dopiero tej gospodarki się uczy. W tym okresie nieuniknione są błędy. I niewątpliwie również na odcinku rolniczym pewne błędy zostały popełnione.

Wicepremier Minc stawia dramatyczne zaiste pytanie: „jeżeli indywidualne rolnictwo nie może nadążyć za tempem rozwoju industrializacji kraju, czy należy rozwijać industrializację kraju w takim tempie, w jakim my ją rozwijamy?”

Minc odpowiada twardo: nie wolno zahamować tempa uprzemysłowienia kraju. I na pewno tak muszą odpowiedzieć wszyscy patrioci polscy. Zahamowanie działaj tempa industrializacji oznaczałoby powrót na wieś setek tysięcy, a nawet milionów ludzi. Oznaczałoby nędzę wsi i bezrobocie miast. Oznaczałoby osłabienie naszego narodu w chwili, kiedy zagraża mu niebezpieczeństwo zewnętrzne. Byłoby po prostu zdradą narodową, gdyż oznaczałoby niewykorzystanie jedynej od wieków szansy wywyższenia Polski z zacofania i niżu cywilizacyjnego.

### OBOWIĄZKI WSI

Położenie gospodarcze chłopów jest niewątpliwie uprzywilejowane w stosunku do sytuacji ludzi pracujących w miastach. Niewątpliwie dotychczas większy ciężar przebudowy gospodarczej Polski spadał na ludzi pracy miast, niż na chłopów. Każdy, kto pamięta wieś przedwojenną, wie, że dziś chłop średnio- i małorolny żyje znacznie lepiej — natomiast poziom życia klasy robotniczej i ludności miejskiej podnosił się znacznie wolniej. Wynika to chociażby ze stałych i opłacalnych cen na zboże i inne produkty rolne oraz z doniosłego faktu, że w każdej niemal liczniejszej rodzinie wiejskiej parę osób pracuje nie na roli, lecz przy robotach przemysłowych w danym powiecie. Przed wojną mały kawałek ziemi i nieopłacalne ceny zboża musiały wyżywić całą rodzinę, dziś pieniądze zarobione przy robotach przemysłowych wracają do domu.

Zrozumieli więc jest apel, by wobec nowych trudności gospodarczych, które znowu spadają głównie na ludność wiejską, chłop polski wykazał patriotyczną postawę i wykonał w pełni wszystkie zobowiązania, jakie wieś ma wobec miast. Skup zboża, skup kartofli i kontraktacja — oto etapy egzaminu dojrzałości politycznej chłop polski.

Na wsi mieszkają nie tylko chłopcy i nie tylko chłopcy kształtują opinię mas wiejskich. Ogromna odpowiedzialność spada na księży, przede wszystkim na księży proboszczów, na nauczycieli, działaczy społecznych — na tych wszystkich, których głos na wsi dużo znaczy.

### W NUMERZE:

T. MAZOWIECKI — Nad nowym katechizmem.  
M. BIESZCZADOWSKI — Proza na dzień pokoju.  
S. LICHANŃSKI — 5 essay'ów z okazji „Pięciu dni straconych”.  
Y. CONGAR — Wypowiedź teologa.  
M. JAWOR — Dwa dokumenty polityki Demokratycznych Niemiec.  
ZUK — Samochód.

### SPRAWA PLOTOK

Byłoby rzeczą nierozsądną nie zdawać sobie sprawy z tego, że wszelkie trudności gospodarcze pojawiające się w Polsce są natychmiast wykorzystywane przez różne siły. Siły te są niejednolite, od drobnych spekulantów poczynając a na świadomych wrogach Polski Ludowej, przedstawicielach obcych interesów kończąc. Bogate kapitalistyczne państwa zachodnie muszą być z zasady wrogami tego kraju, który pozbywszy się kapitału obcego buduje w szybkim tempie własny przemysł. Nic też dziwnego, że w tej chwili radiostacje Londynu, Nowego Jorku czy Madrytu tak gwałtownie interesują się naszymi trudnościami gospodarczymi i z takim zapałem starają się szerzyć panikę. Starym środkiem wszelkich dywersji jest plotka.

Jakie mogą być zle skutki plotek? — Weźmy przykład z miast. W miasteczku o 10 tys. mieszkańców każdy ma możliwość zakupu cukru w ciągu roku np. 30 kg cukru — i do tego dostosowane są dostawy cukru dla handlu. Jeżeli na skutek plotek ludzie zaczynają kupować więcej cukru, gromadząc go na zapas — to występuje brak, cukier trzeba sprowadzać z dalekich nieraz magazynów a w międzyczasie tworzą się ogonki. To samo stosuje się do wszelkich innych towarów, których gwałtowne wykupywanie wywołane złośliwą plotką może zdeorganizować rynek. Pewne skutki takiej złośliwej plotki na wsi obserwowaliśmy przed rokiem a odczuwamy dzisiaj, wtedy to, w okresie spisu ludności doprowadziła ona w niektórych szczególnie zacofanych okolicach wiejskich do wybiecia przez chłopów nierogacizny, która rzekomo miała być konfiskowana. Dzisiaj obserwujemy nową ofensywę absurdalnych plotek i bredni. W obecnych warunkach nie wolno pozwalać sobie na tolerancyjność wobec głupoty i złej woli. Sytuacja świata i Polski jest na to zbyt poważna.

Jak nas poucza doświadczenie życiowe oraz dorobek literacki

(Dokończenie na str. 2)

# Cena krwi niemieckiej

O d dłuższego czasu postępowania opinia publiczna w Europie alarmowana jest wieściami o bezkarności jaką cieszą się w Niemczech Zachodnich związki wojskowe byłych hitlerowskich oficerów i żołnierzy Wehrmachtu, formacji S.A. i S.S.

W pierwszych dniach października odbył się w Iserlohn wielki zjazd delegatów „Verband Deutscher Soldaten”. Ten „Związek Żołnierzy Niemieckich” założony został niedawno bo zaledwie 9 września br. w Bonn, pod czujnym okiem Adenauera.

Tak więc w Iserlohn, pod portretem feldmarszałka Rommla, pod przewodnictwem pruskiego junkra gen. Freiherr von Eisebeck, obradowało ponad 3.000 byłych oficerów hitlerowskich, głównie przedstawicieli „Afrika Korps” i formacji spadochronowych. SS-mani byli tym razem w mniejszości. Na razie...

Nie brakowało na zjeździe zadań takich jak przywrócenie swastyki na odznace wojskowej członków związku. Nie brakowało gróźb pod adresem Polski, ani pogroźek dla władz okupacyjnych, które zbyt wolno — zdaniem zebranych — odbudowują agresywną armię niemiecką. Nie brakowało chóralnych śpiewów „Deutschland, Deutschland über alles!”. Hitlerowskich hymnów nie śpiewano oficjalnie. Na razie...

D O ISERLOHN zjechał w drugim dniu obrad Elwyn Jones, były prokurator sądu brytyjskiego z procesu w Norymberdze. Jak wiadomo, wystarczyło zaledwie pięć lat aby wytworzyła się ta paradoksalna sytuacja: oto oskarżyciel zbrodniarzy wojennych zmuszony jest do wysłuchiwania oskarżeń i gróźb skierowanych pod adresem władz alianckich przez zwolnionych z więzień tych samych zbrodniarzy, którzy domagają się uwolnienia pozostałych i rehabilitacji „honoru żołnierza niemieckiego”.

Cóż na to Elwyn Jones członek Izby Gmin, były prokurator norymberski? — Jedyną wagą krytyczną jaka mu się nasunęła na zjeździe, to podczas dwuznacznej ceremonii, którą na grobie Rommla celebrował Bayerlein, wdowa po Rommlu, przybrana we wszystkie otrzymane od Hitlera order swego męża oraz kilku kapelanów. Kiedy trzeci z kolei duchowny mówił o „grobach niemieckich, które pokrywają wybrzeże Afryki od Aleksandrii do Tunisu” Elwyn Jones notuje na marginesie swego artykułu: „Uważam, że w imię chrześcijańskich zasad miłosierdzia powinien być wspomnian także o zabitych z naszej ósmej armii”.

W AGRESYWNYCH planach anglosaskich sztabów, przyszłej armii niemieckiej przyznano niepoślednią rolę. Ale szybkie stworzenie tej armii napotyka na drodze poważne trudności. Bo naród niemiecki nie chce wojny, nie chce remilitaryzacji przeprowadzonej gwałtem i kosztem jego dobrobytu. Mimo niedzi i bezrobocia w Zachodnich Niemczech, mimo wysiłków władz okupacyjnych, przytłaczająca większość Niemców wypowiedziała się jak najbardziej stanowczo przeciwko remilitaryzacji.

Awanturnikom wojennym tak w Niemczech jak i w Ameryce już snuta się w głowach inne plany. Chodziłoby o stworzenie żelaznych kadr wojskowych z byłych zbrodniarzy wojennych, z hitlerowskich generałów, oficerów i SS-manów. Te kadry mają na nowo zakuć w klasyczne militarystyczne narządki niemieckie. Okazuje się, że projekt ten zyskał uznanie hitlerowskich generałów, którzy dobrze zdają sobie sprawę,

że niemiecka armia ochotnicza jest mrzonką, że tylko przymusowy pobór rekruta mógłby rozwiązać sprawę.

Delegaci zjazdu podawali się za przedstawicieli narodu niemieckiego i w jego imieniu przeprowadzali haniebne targi z anglosaskimi władzami okupacyjnymi. Chodziło o to jaką cenę będą musieli zapłacić alianci za „krew niemiecką”, którą im ofiarowują zausznicy Hitlera i awanturnicy byłego Wehrmachtu.

K TÓŻ są ci ludzie, którzy roszczą sobie prawo do reprezentowania narodu niemieckiego? To generał wojsk pancernych Crüwell, generał Speidel, szef sztabu Rommla, gen. Heusinger „szef operacyjny” hitlerowskiego sztabu, gen. Friessner, gen. Krakau założyciel pierwszych komórek ruchu neo-hitlerowskiego, gen. Manteuffel, kat Ukrainy, generałowie Henschke, Herr, Student, zbrodniarze wojenni, gen. SS Hauser, proponujący „całkowitą rehabilitację formacji SS”, kat Kretz, gen. Ramke, admirał Hansen, odpowiedzialny za wytopienie więźniów politycznych w ostatnich dniach wojny, wreszcie ponury Guderian, ostatni naczelny wódz Wehrmachtu. Brakuje jeszcze Kesselringa, splamionego krwią tysięcy Włochów, ale jednym z warunków stawianych przez Zarząd „Związku Żołnierzy Niemieckich” jest właśnie jego natychmiastowe uwolnienie.

Warunków takich jest więcej. Przede wszystkim hitlerowscy generałowie, dopuszczenie do roli partnera przez Anglosasów domaga się całkowitego równouprawnienia (Gleichberechtigung) tak w dziedzinie politycznej jak i wojskowej. Wysocy Komisarze alianccy staną się po prostu ambasadorami łaskawie akredytowanymi przy rządzie w Bonn. Wojska alianckie pozostać powinny w Niemczech, ale nie w charakterze okupantów a tylko jako ewentualna pomoc w tłumieniu nieporządków (czytaj: tłumieniu odruchów buntu narodu niemieckiego przeciwko remilitaryzacji). Dalej wypuszczenie na wolność i całkowita rehabilitacja ostatnich jeszcze zbrodniarzy wojennych, których 220 znajduje się w więzieniach anglosaskich a 465 w amerykańskich. Mało tego, generałowie hitlerowscy domagają się oficjalnej deklaracji rządów Ameryki, Wielkiej Brytanii i Francji, która by stwierdziła, iż honor żołnierzy niemieckich, a więc i SS-manów, jest czysty a zbrodnie wojenne rzekomo poprzez nich wypełnione są wytworem propagandy antyniemieckiej. Dopiero o takich „oficjalnych przeorosiinach” stwierdzających niewinność zbrodniarzy wojennych mogą Anglosasi liczyć na niemieckiego rekruta.

I jeszcze jedno. Oczywiście nasze Ziemię Zachodnią powinny wrócić do Niemiec. Wspomniany już Elwyn Jones pisze, że rozmawiając z jednym z generałów w Iserlohn zwrócił mu uwagę na to, że zarówno Śląsk jak i Pomorze Zachodnie zostały zagospodarowane przez Polskę, że miliony Polaków tam obecnie żyją i nie oddadzą nigdy tych obszarów.

— Oddadzą — brzmiała odpowiedź — tak jak oddał den polnische Korridor w 1939.

Będzie może Elwyn Jones i jego rozmówca nie ziała sobie sprawę że przeciwko garstce niemieckich zbrodniarzy wojennych i awanturników imperialistycznych stol miliard ludzi zdecydowanych zachować pokój. I oni właśnie reprezentują ludzkość tak jak reprezentuje Niemcy naród niemiecki a nie 3.000 hitlerowskich pogrobowców z Iserlohn.

ludzkość do plotek na ogół więcej mają skłonności kobiety niż mężczyźni. Obecne trudności aprowizacyjne uderzają w pierwszym rzędzie w kobiety. To one muszą stać w ogonkach i kłopotać się o to, by obiad smakował mężowi czy synowi. Nic też dziwnego, że czasem są nieco zdenerwowane. Lecz niektóre ogonki szczególnie w większych miastach zbyt często zamieniają się w kuźnię najbardziej nieprawdopodobnych wieści. Żal czasem bierze, że tak mało rozpowszechnio na jest wśród naszych pań znajomość wielkiego dzieła Monteskiusza. Niewątpliwie ten myśliciel francuski grzeszył antyfeminizmem, co mocno osłabia wartość naukową jego pracy. Musiały mu jednak babskie plotki bardzo dokuczyć, bo z niezwykłym zapętem zbierał wszelkie dowody usprawiedliwiające ustawodawstwo surowo karzące plotkarstwo kobiet. W tym kierunku zdradzał nawet objawy obsesji twierdząc, że haremy i zakaz odzyskiwania się kobiet na ulicy, obowiązująca w państwach muzułmańskich, był koniecznością, gdyż przy wojowniczości Arabów i Turków pozostawienie kobietom swobody plotkowania doprowadziłoby do całkowitego wyginięcia ludności męskiej. Wspominam Monteskiusza oczywiście „gwoli - swawoli” — tym niemniej na chorobę plotkarstwa, na różne bujdy o „wywożeniu”, wielkim głodzie itd. powinna się znaleźć jakaś rada.

## BEZPARTYJNI A POLITYKA PARTII

Trudności gospodarcze Polski zbiegają się z napięciem sytuacji międzynarodowej. „Państwo, które by w takim okresie nie dbało o wzmocnienie swoich sił obronnych, nie dbało o rozbudowę swojego przemysłu zbrojeniowego, nie dbało o to, żeby móc dostarczyć swej armii odpowiedniej ilości nowoczesnej broni i sprzętu, takie państwo nie zasługiwałoby na szacunek swe go narodu. I Polska Ludowa takim państwem nie jest” — stwierdza wicepremier Minc. Dla żadnego myślącego Polaka to stwierdzenie nie wymaga komentarzy.

Remilitaryzacja i popieranie w Niemczech zachodnich przez Amerykanów szowinistycznych i odwrotnych nastrojów, publiczne domaganie się przez przywódców bońskich rewizji zachodniej granicy Polski, jawne szykowanie wojny agresywnej, która w pierwszym rzędzie ugodził ma w nasz kraj — to wszystko zagraża bezpieczeństwu naszej Ojczyzny i wielkiemu dorobkowi gospodarczemu Polski Ludowej zbudowanemu ciężką ludzką pracą. W tych warunkach musimy zdobyć się na dodatkowy wysiłek — na dobrojenie kraju.

Czy jest możliwe przezwyciężenie obecnych trudności, dalsza rozbudowa przemysłu i równoczesne wzmocnienie sił i zaopatrzenia na szego wojska?

Trudno by odpowiedź teoretyczną mogła być przekonująca. Najpewniejszym argumentem, że możliwe jest wykonanie tych trudnych zadań, jest bilans tego, co zostało dokonane dotychczas. W 1945 r. Polska była jedną ruiną. Dziś no wo zbudowany przemysł wytwarza trzy razy więcej niż przemysł polski w 1938 r.

Tego ogromnego dzieła dokonali ludzie, z których niejedyn przed

# Jeszcze jeden egzamin dojrzałości

Dokończenie ze str. 1

wojną dzielił los autorów książki, którą mam właśnie przed sobą: „Pamiętniki bezrobotnych” — Warszawa 1935. Warto tę książkę znać. Robotnik budowlany pisze: „Nie można absolutnie nic skąd zarobić, żadnych remontów i budowli nie budują, biura budowlane robią plajtę... Gospodarz za komorne mnie eksmitował... wyrzucił mnie na schody z dziećmi, tam zamieszkuje parę dni”. Bezrobotny cieszą: „Daliśmy za wygraną i nie mam już sił. A jednak mam dopiero 31 lat. — Ludzie dziwią się moim siwym włosom. Nie domyślają się oni, że ja jeden z szarej masy ludzi jestem jak cała masa bez pracy i dlatego jestem nikomu niepotrzebny”. Można by cytować bez końca. Było w Polsce według spisu ludności z 1931 r. — 680 tys. bezrobotnych, wraz z rodzinami 1.475.000. Liczby te nie obejmują bezrobocia na wsi, które oceniano na 6 — 8 milionów.

Aby takie czasy nie wróciły nig-

dy, aby żołnierz niemiecki nie deptał ziemi polskiej wszyscy Polacy muszą zdobyć się na jeszcze większy i jeszcze ofiarniejszy wysiłek.

Wielu jest w Polsce ludzi nie będących marksistami. Jaki może być stosunek tych ludzi do zadań postawionych przez wicepremiera Minca, który reprezentując Rząd Polski jest równocześnie wybitnym marksistą?

Odpowiedź na to pytanie jest na prawdę prosta, dla każdego, komu leży na sercu sprawa Ojczyzny. Rząd Polski Ludowej wykorzystując w pełni historyczną szansę uprzemysłowienia kraju i równocześnie starając się zabezpieczyć Polskę na wypadek odrodzenia się sił militarystycznych w Niemczech zachodnich, realizuje narodową polską rację stanu i Innej drogi niż ta, którą wskazał wicepremier Minc, dla żadnego patrioty polskiego nie ma. Droga ta jest trudna, ale jest jedyna — każda inna z interesem Polski nie ma nic wspólnego.

Dominik Horodyński

## NOTATNIK POLITYCZNY

# Prawa historii

P O katastrofie z naftą perską, po utracie wiernego sprzymierzeńca, Abdullacha, króla Jordani, po zamachu na syryjskiego przywódcę anglosaskiej orientacji — Egipt wypowiada traktaty wiążące go z polityką brytyjską i ultimatywnie żąda ewakuacji wojsk obcych ze strefy Kanalu Sueskiego, oraz przywrócenia pełni praw suwerennych nad Sudanem.

To nie działa fatalistyczne „prawo serii”, gromadzące niepowodzenie po niepowodzeniu. To działają prawa historii. Ongiś potężne Imperium Brytyjskie dziś już nie tylko trzeszczy w posadach, ale po prostu rozlatuje się w drzazgi. Apogeuem potęgi brytyjskiej to lata panowania królowej Wiktorii i jej premiera lorda d'Israeli of Beaconsfield. Od daty jej śmierci nie minęło jeszcze pół wieku. A przecież...

Mimo zwycięskich dwóch wojen światowych — Wielka Brytania utraciła swą władzę nad światem a z dnia na dzień chyli się jej mocarstwowy prestiż. Mimo zwycięstwa w wojnie z Boerami — dziś Afryka Południowa zrywa faktycznie stosunki z metropolią. Mimo zwycięskiej rozprawy z powstaniem Sipojów — Indie i Pakistan są dziś państwami niezależnymi i tytuł cesarza Indii skreślony został ze słownictwa dyplomatycznego. Mimo zwycięstw Kitchenera nad Mahdim — dziś Egipt wyzwała się spod przewagi angielskiej.

Fakty mówią za siebie — Imperium Brytyjskie zalamano się. W ciągu pół wieku pozostały szczątki. Wielka Brytania — najbogatszy do niedawna kraj na świecie — walczy rozpaczliwie z widmem bankructwa.

Jak do tego doszło? Niewątpliwie przyczyniło się do tego poważnie załepienie brytyjskich kolonizatorów. Cokolwiek Anglij mają do powiedzenia tu na swoją obronę nie zatrzą ogromu ich odpowiedzialności. Jest niewątpliwym faktem, że na administracyjnych przez siebie terenach zaprowadzili oni nowoczesną, sprawną administrację, że budowali szkoły, szpitale, tworzyli europejską kulturę. Jest jednak również faktem, że tworzyli to wszystko pod kątem widzenia swych własnych interesów. One zaś wymagały, by niszczyć ruchy niepodległościowe, by narzucić władztwo angielskie, by ciągnąć egoistyczne i nieprzełiczone zyski kosztem niedzi mas kolonialnych, by białego ustawić jako „pana” a kolorowego — jako „niewolnika”. Wyjątki służyły tylko po to by potwierdzić regule.

Dlatego, mimo wszelkich „dobrodziejstw” nie chcą dziś Anelików — ani w Afryce, ani w Indiach, ani na Bliskim Wschodzie. Obok wroga wewnętrznego — na

potkał imperializm wroga zewnętrznego. Był nim amerykański konkurent. Od czasów Pierwszej Wojny Światowej imperializm, bezlitosny i agresywny kapitalizm amerykański śledzi każdą słabość brytyjską, by pochwycić dla siebie kęs bogactw zazdrośnie strzeżonych. U źródeł wszystkich niepowodzeń imperializmu brytyjskiego tkwi żązała walka o wpływy dwóch anglosaskich konkurentów. Tak było w Indiach, tak jest w Afryce, tak samo w Iranie, w Syrii, w Jordanii, w Egipcie, w Abisynii — wszędzie.

Nieubliwana logika systemu. Oba przeciwnicy wiedzą, że walka ta osłabia ich i tak nadzarsnęła siły i że z każdym dniem przyspiesza zwycięstwo rewolucji społecznej. Tym niemniej ugoda jest niemożliwa. Imperium Brytyjskie może żyć tylko kosztem imperializmu amerykańskiego. Imperializm amerykański istnieć może tylko dzięki rozkładowi kolonializmu brytyjskiego.

„Ktęś ginie, by ktoś mógł żyć” — logika kapitalizmu.

Istnieje jednak i odwrotna strona tej logiki. Kolonializm, imperializm mobilizują przeciw sobie wszystkie siły niezaprzęgnięte w rydwan wielko-kapitalistyczny. W Indiach rządzi tytowa burżuazja. W Teheranie przeciwnikiem Anglików jest konserwatysta, wróg postępu — Mossadik. W Egipcie panuje ustroj w pełni feudalny. W większości tych krajów ruchy społecznie rewolucyjne, ruchy pokojowe są przesładowane. Rządy ich prowadzą w stosunku do świata socjalistycznego działalność jawnie wrogą.

Mimo tego wyzwalając swe kraje spod władzy imperializmu kapitalistycznego — służą często rzeczywistości sprawie pokoju i społecznego postępu.

Mossadik, wróg socjalizmu, musiał przystać na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa, iż jedynym głosem przyjaźni i sprawiedliwości — był głos delegata radzieckiego. Pandit Nehru musiał potwierdzić, mimo, że prześladowuje Ruch Obrońców Pokoju — że to polityka Stalina a nie Trumana była polityką dobrej woli pokojowej.

Premier Egiptu będzie musiał w najbliższym czasie przekonać się o tym samym.

Bo dziś linia podziału świata przebiega w polityce wyrażenie — każdy kto walczy z imperializmem wielkiego kapitału — działa na korzyść sprawy postępu i sprawiedliwości.

Każdy, kto dąży do utwierdzenia władzy kapitału i bankierów — musi mobilizować przeciw sobie gniew mas społecznych. Na całym świecie.

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ

WISŁA POŻEGNA ZAŚCIANEK

PAWEŁ JASIEŃC

Reportaże z Kielecczyny

Cena zł 28.-

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX” BIURO SPRZEDAŻY, WARSZAWA MOKOTOWSKA 43, P.K.O. 1-8515

Tadeusz MAZOWIECKI

# NAD NOWYM KATECHIZMEM

## KATECHIZM RELIGII KATOLICKIEJ



PRZYPOMINAM sobie, kiedy przed dwoma laty ukazał się „Katechizm życia chrześcijańskiego” ks. Jana Zieji, Zygmunt Jakimiak pisząc na tym miejscu o tej pięknej i głębokiej pracy wracał myślą do dzieciństwa. Istotnie, okładka książki z krótkim napisem „katechizm” od razu przesuwa myśl, ku początkom naszej znajomości z nauką Kościoła. Pierwsze słowa pacierza, a potem pierwsze zdania samemu odczytanego katechizmu, jedno i drugie przy nieodzownej pomocy matki — stała się dla mnie niezmiernie najbardziej naturalną oprawą wrażeń, jakie nasuwają się każdemu z nas w chwilach ponownych spotkań z katechizmem. Ale, i to trzeba powiedzieć od razu, tych spotkań było bardzo mało. Może dlatego, że brakło u nas katechizmów dostosowanych do wymogów współczesnych ludzi dorosłych, a może w pierwszym rzędzie dlatego, że ci ludzie dorosli zazwyczaj zaliczali katechizm do rekwiwytów dawno przebrzmiałej młodości.

Katechizm — to abecadło pierwszej wiedzy o Bogu i Jego prawach, ale Katechizm — to także niezbędna encyklopedia podręczna katolika, który chce być człowiekiem chrześcijańskim czy nu. Proszę wybaczyć słowo „encyklopedia”, ale choć nie mówimy tu o wielotomowym wydawnictwie, w którym znalazłby się abecadło pierwszej wiedzy o Bogu i Jego prawach, ale Katechizm — to także niezbędna encyklopedia podręczna katolika, który chce być człowiekiem chrześcijańskim czy nu. Proszę wybaczyć słowo „encyklopedia”, ale choć nie mówimy tu o wielotomowym wydawnictwie, w którym znalazłby się abecadło pierwszej wiedzy o Bogu i Jego prawach, ale Katechizm — to także niezbędna encyklopedia podręczna katolika, który chce być człowiekiem chrześcijańskim czy nu.

Katechizm przemawia do nas językiem prostym. Prawdy największe są proste. Ta prostota katechizmowych zdań przewyższa nieraz wielokrotnie wyszukana wielomówność. Tym, dla których katechizm jest abecadłem wiedzy chrześcijańskiej, dostarcza on dostępnym sformułowanym podstaw wyjątkowych; tym zaś, dla których jest powrotem do analitycznych przemyśleń do ścisłej syntezy, daje sformułowania najbardziej lapidarne i pozwala jeszcze

nych poszukiwać wśród gęstwy myśli chrześcijańskiej. Głęboka i wszechstronna wiedza o Bogu i Jego prawach przybliży do Niego — oto wnioskując z książki zasadnicza myśl przewodnia i metoda wychowawcza, którą posłużyło się w „Katechizmie Religii Katolickiej”.

Założenie, że trzeba dać katolickiemu czytelnikowi w Polsce do ręki katechizm, który byłby przede wszystkim katechizmem wiedzy, jest — w świetle tego, co dotąd u nas mówiono i pisano o fideizmie — najzupełniej zrozumiałe i całkowicie uzasadnione. Tylko — i na to warto zwrócić uwagę — nie jest to już jedynie opisywanie polskiego fideizmu katolików i ubolewanie nad nim — ale walka z nim, walka najbardziej od podstaw i u podstaw, ba przy kształtowaniu elementarnych pojęć o Bogu i świecie.

„Katechizm Religii Katolickiej” wykazuje dbałość o gruntowną informację przez to, iż zarówno odpowiedzi na pytania układane są tak, aby prawda o niesprzeczności wiary i nauki była dla czytającego najzupełniej uchwytana, jak i dzięki temu, że przy większości problemów nie ograniczono się do krótkich wyjaśnień, ale poniżej syntetycznej odpowiedzi podano bardziej wyczerpujące uwagi, które by rozszerzały znajomość przedmiotu.

Trzy części: — I „O wierze i składzie apostołskim”; II „O przykazaniach”; III „O Łasce Bożej i środkach jej uzyskania” — oraz wstęp i do datki — zamykają ułożoną według pewnego logicznego porządku całość. Na uwagę zasługuje fakt, iż przy omawianiu poszczególnych zagadnień starano się o ich wszechstronne ujęcie. Tak np. gdy mowa „O dziele Odkupienia ro-

dzaju ludzkiego” po wyjaśnieniu teologicznego sensu problemu Odkupienia przytoczone jest wyczerpujące omówienie liturgii Wielkiego Tygodnia. To zestawienie ma sens całkowicie praktyczny i bardzo głęboki.

Liturgia Kościoła tu ukazywana nie jest czymś martwym, ale żyje w najbliższym związku z podstawowymi prawdami wiary.

Gdzie indziej, jak np. w rozdziale poświęconym zagadnieniu Łaski, ta wszechstronność w ujmowaniu zagadnień ukaże się nam w podobnym stopniu. Obok bowiem wyjaśnienia istoty Łaski położono nacisk na współdziałanie woli człowieka z Łaską i w tej perspektywie ukazano znaczenie i liturgię Sakramentów Świętych. Inny przykład: gdy mowa o Kościele Katolickim i o wierze „Katechizm Religii Katolickiej” pouczy czytającego o znamionach prawdziwości Kościoła i wyjaśni głębiej zasadę „extra Ecclesiam nulla salus”, ale jednocześnie zwróci uwagę na obowiązek szanowania cudzych przekonań. Siła prawdy nie potrzebuje fanatyzmu — atmosfera szacunku, która nie jest pobłażaniem — przed tym właśnie chroni.

Wszystkie te przytoczone i nie przytoczone tu zalety w sformułowaniach katechizmu „Paxu” wynikają, oczywiście, z tego, że redaktorzy katechizmu z dużym napięciem i uwagą korzystali ze skarbcza Kościoła starając się oddać jego naukę w formie najbardziej wyjaśniającej. Wydobywamy tu zaś rys główny nowo wydanej katechizmu — dążenie do umożliwienia maksymalnie głębokiego i wszechstronnego poznania prawd wiary — sprawia, iż Katechizm ten dzięki temu stać się może istotną pomocą w uro-

bieniu postawy i wykształcenia religijnego młodego i starszego czytelnika. Jest to tym więcej ważne, że książka ta została zatwierdzona przez Ministerstwo Oświaty jako pomocniczy podręcznik dla nauczycieli religii rzymskokatolickiej w szkołach ogólnokształcących.

Oczywiście, ten podstawowy akcent, o którym tu była mowa, spowodował także strony ujemne. Razi często zbyt duża suchość, jakoby całkowita rezygnacja z oddziaływania na uczucie na rzecz oddziaływania na intelekt, a przede wszystkim w niektórych partiach sformułowania zbyt trudne. Niewątpliwie ambitne założenie opracowania katechizmu będącego przede wszystkim katechizmem wiedzy religijnej przyczyniło się do zmniejszenia jego przystępności.

Jednak obliczenie wszystkich pro i contra daje w tej materii bilans zdecydowanie dodatni. Żadne bowiem z wymienionych poprzednio niedociągnięć nie sprawia, że świeżo wydany Katechizm jest lekturą przeznaczoną dla wtajemniczonych, że człowiek niewykształcony ma rezygnować z wzięcia go do ręki. Wszystkie natomiast osiągnięcia „Katechizmu Religii Katolickiej” sprawiają, iż biorąc go do ręki otrzyma książkę stosunkowo przystępną i komunikatywną, dzięki której ma możliwość poznania i pogłębienia swojej znajomości wiary. Konfrontacja tego z zapotrzebowaniem wynikającym ze stanu kultury religijnej naszego społeczeństwa sprawia, iż trzeba powiedzieć krótko: wybór tego właśnie akcentu był słuszny.

Podkreślić należy też, że wprowadzenie czytelnika w możliwie głęboko-  
(Dokończenie na str. 4)

Mikołaj BIESZCZADOWSKI

## Proza na dzień pokoju

ZMIERZCH

*Cóż winne były róże, takie czule, gdy całowały je zakochani, zanurzając się w noc jak w piękny sen,*

*o cóż mieć żal do posenek, że tak beztrako dzwoniły, wplątane we wstęgi ki gitar,*

*czyż można oskarżać wiatr, że niósł je wieczorem nad rzekę, w której się kąpał księżyc tak spokojnie, jakby nie miał nigdy spłynąć ogniem.*

*A dzień powszedni szarzał na polach zgrzebną troską, bogactwa nie mogli usnąć dręczeni lekkiem o nagromadzone mienie, głodni odbierali sobie życie a ci, którzy rozumieli język historii, zacisnęli pięści. Tylko dzieci przuchadzili na świat tak ufne, jakby tu na nie czekały miłość i sprawiedliwość.*

*Tymczasem bankierzy chwytali w zwinne dłonie strugi dymiącego złota, dyplomaci z truną beztrasko ciągli ostrzy mi nożycami mapy na strzępki, a handlarze skupowali krew jeszcze niekniejącą, na pniu. Przeczuwali hausse na ten surowiec, więc targ szedł głośny. W przedpokoju notwora śmierć czekała posłuszenie na rozkazy.*

*Gdy nadszła noc, pierwsze krzyki nęły syreny. Ich nieutulony lament dźwięko kołował nad zbrodnią.*

*Ani wiatr, ani róże, ani oczy dziecięce nie były przeciwie winne, że zawarzał bęben śmierci: woj-na! woj-na!*

SKRZYPCE

*Wiatr musi deszczem grać na szubach, bo nie ma skrzypiec, a wy mi śpiewajcie najładniej jak umiecie w ten smutny wieczór; snujcie piosenkę ciepłą i krętą jak złota nić. Niech mi się iskrzy w dłoniach jak smaragd, jak promień, zalamanu w tzie.*

*Oto jest dom. Pasma jaskółek wiążą go z ziemią, w oknach stoi niebo, nad sadem ranne wstają zorze, dym pachnie kolenką, przez gąszcz zielonych lat dzieciństwo przegląda łagodnie, jak kolysanka skrzypcową.*

*Niechaj słońce ze smyczką ton skowronkowu, niech zatańczy lekkim krokiem siostry, gdy biegła przez ogród. Jej śpiew pluskał jasnym strumykiem, kiedy od studni niosła schwyłane w windra gwiazdy.*

*Nie rwiż się śniewko, ale dźwięcz inacko, jak śmiech chłopców leć wesoło — bo to starszy brat wraca z siw-*

*kami od wodopoiu, piękny jak księżyc, a taki mocny, gdy mnie unosi w krzepkich ramionach aż pod powałę.*

*Teraz zadzwonić skrzypczki tak go rąco, jakbyście były moim własnym sercem — kolyszcie głosem najukochańszym, najukochańszym. Matka czuwała wszędzie, w śmiechu, w śnie, w baśni. Jej cienne ręce niosły zdrowie i ciepło — bronily przed cieniami na ścianach, w kościele, owinięte różanicem, prosity dla nas o łaskę.*

*Ach, krzuczcie głośno, obłąkane skrzypce, jakbyście martwych zbudzić miały i żywą krewią niech spłyną struny. Brata zakłuli w lesie, został po nim strzęp jasných włosów, przylepiony do sosny. Po siostrze nawet śladu nie ma; w popiół zmienił śpiew i taniec, Matkę trud dobił daleko, gdzie ją zawlekli, żeby służyła obcym. Może jej serce pod ziemią, jak król, przedziera się z uporem i chce wrócić do mnie?*

*Domu nie ma. Płomień rzucili w okna, gdzie mżyły czereśnie, teraz tam oses się chwieje.*

*Uśnij mi w dłoniach, śpiewko, jak martwe pisłki. Zimne struny nie wypo-wiedzą skargi. Niech za mnie gra wiatr deszczem na szybach, niech wola długą, przez całą noc.*

EGZEKUCJA

*Pod oślizgłymi murami czarnych miast stoje sam. Powoli unoszą się kabiny plutonów egzekucyjnych. Na wszystkich bezludnych ulicach, wymiecionych przez przemoc i strach, zdławione okrzyki salw przebijają moje serce.*

*Pod murami milczących miast wolno osuwa się na mokrą ziemię podarte w strzępy ciało — tylko nieznaną plak płacze nade mną i mój bezcielesny już cień przypada do zakrwawionych stóp.*

*W pustych domach matki moje żalostnie kolyszą głowami, srebrnymi od grozy jak szron.*

*Wtedy przez niedomknięte drzwi zagłoda noc, ogolona nawet w blasku śmiertelnych gromnic.*

*W każdej sekundzie czasu, w każdym miejscu świata podnoszą się nieustannie do moich oczu szydercze żrenice karabinowych łuj.*

*I matki, wieczne matki cierpienia, kołuszą w piersiach stygnące serca, jak osierocone kolyski.*

GNIEW

*Ziemia dygoce z odrazy i gniewu, spłoszone ogniem mosty stają dęba, po ciagi zamieniają się w słupy ogniste, góry wybuchają jak wulkany i kamienią doliny. Z gniazd ludzkich rozpalonych jak stopy wypelzają rozświeczone salamandry, tysząc lustrami blach. Oceanii wrą niby piekielne kotły i wypływają ciała żelaznych ryb. Nawet powietrze rodzi orły uzbrojone w grom i cały świat rzezi w wysiłku — porusza się aż do trzewiów, w strugach śmierci negu potu, w planach nawalniczy.*

*Na północy miasto, gorejące jak gwiazda, zagradza drogę nienawiści.*

*I wtedy ukryte w podziemiach, struch late od lun, albo zakamieniale w bólu serca, wzbierają krewią nadziei, a młodość, drzewo przyszłości, unosi wysoko topoczący na wichrach znak zycia.*

PIEŚŃ

*Ukochana, czy słyszysz mnie? Zbudź się, już czas. Przez niebosktony biegnie świat, pusta przestrzeń różowej i nagle spójr! Wypełnia ją dom, rośnie strzelisty, rozwiera niezliczone okna na światło dnia, a ci, którzy ukochali życie, wracają, aby pochylić się nad dziełem.*

*Popatrz, jak opadają ruiny, niby wody powodzi, wylaniają się w mgieł drogi, wiodące do celów piękniejszych niż kiedykolwiek.*

*Przyjrzyj się memu bratu, wydarlemu śmierci, wyciągnij ręce do siostry naszych wspólnych trudów, pomyśl, jaka radość żyć w tej ogromnej rodzinie.*

*Ostatnie dymy rozwiewa młody śpiew. Słuchaj, jak bije o tuki niebios, nieulekły, choć na horyzoncie pieni się pomruk nienawiści i chociaż noc wciąż jeszcze zajadłe uderza o brzeg.*

*Czy słyszysz muzykę młotów? Jest piękniejsza od najcichszego placzu skrzypiec — to ona wzywa nienarodzonych, aby przychodzili na świat już czysty, gdzie czeka ich przyjaźń i wolność.*

*To ona broni twych oczu, aby już nigdy ich nie poraził błysk egzekucyjnych salw — to ona, pieśń codziennego dnia, pieśń tworenia, zwycięża wojnę. Podaj mi dłoń, już czas przylączyć się do chóru, ukochana.*

Mikołaj Bieszczadowski

# O R Ó Ż A Ń C U

LACORDAIRE w swym żywocie św. Dominika pisze, że modlitwa, która osiągnęła taką trwałość i stała się tak powszechną jak różaniec, „musi koniecznie łączyć w sobie tajemniczą harmonię z potrzebami i przeznaczeniem człowieka”. Jest to fakt niezaprzeczalny, ale należało by się zastanowić, z czego on wynika, jakie są przyczyny tej niezmiernie popularności nabożeństwa różańcowego? Można na to odpowiedzieć: Ujmująca łatwość, posmak mistycyzmu oraz skuteczność tak w porządku Łaski, jak pobłażliwość dla wewnętrznych dążeń człowieka religijnego.

Różaniec nie narzuca odmawiającemu dyscypliny tak zewnętrznej jak i wewnętrznej. T. J. Maréchal pisze: „Wykonywanie obrządku ze wnętrznego jest nastawieniem przynajmniej częściowym od automatyzmu do rozumienia spraw ducha, pierwszą skromną drogą do wrażliwości”.

Dyskretna monotonia powtarzanych Pozdrowień Anielskich uspokaja i ucisza. Zdarzają się chwile rozłagodzenia, ale dzięki rytmowi powtarzanej modlitwy chwile te mijają, uwaga kieruje się ku Bogu. Czasami odmawiający różaniec nie przeżywa odmawianych przez siebie słów, ale często czyni lepiej, pozwala duszy unieść się swobodnie w prawdziwej kontemplacji surowej i nieznannej. Następują kolejne powroty uwagi przykładanej do wymawianych słów, ale na ich zmechanizowanej podstawie powstaje modlitwa bardziej wzniosła, czystsza i osobista.

W stosunku do nabożeństwa różańcowego wysuwane są liczne zastrzeżenia, przyrównuje się je do modlitw derwiszów czy braminów. Zastrzeżenia te mogłyby być słuszne, gdyby odmawianie różańca ograniczało się do automatycznego powtarzania Modlitwy Pańskiej i Pozdrowień Anielskich, ale tak nie jest — modlitwy te muszą być połączone z rozmyślaniami nad tajemnicami wiary. Różaniec jest Boskim skrótem tajemnic życia, cierpienia i chwały Jezusa i Maryi, jak mówi św. Grignon de Monfort. W tym też tkwi wielkość tego nabożeństwa.

Różaniec jest jedyną modlitwą, która łączy wstrzemięźliwość mowy z długimi, żarliwymi uniesieniami nad kontemplowanymi tajemnicami. Odpowiada ona paradoksalnemu wymaganiu modlitwy dyskretniej a zarazem nieustannej.

Święty Augustyn tak charakteryzował modlitwę prawdziwie chrześcijańską: „Absit ab oratione multa locutio, sed non desit multa precatio”. (Trzeba się wiele modlić mało mówiąc).

Dużo się modlić to stuknąć do drzwi Tego, którego się wzywa. Modlitwa powinna być długa i czysta, ale nie powinna być przeładowana słowami.



Różaniec — praktyka pobożna, łatwa, pociągająca swoją prostotą — początkowo był nabożeństwem jedynie nieoświeconych, członków trzeciego zakonu. Rozwijał się na marginesie oficjalnych modlitw kościelnych dopóty, dopóki teologowie, mistycy i duszpasterze nie odkryli jego wartości. Zdaniem Mgr D'Hulst'a, rektora Instytutu Katolickiego, różaniec jest pokarmem dla każdego, tak dla słabego jak i silnego. Jest on „modlitwą dusz prostych i dziełających, którym sprawia radość docieranie przez to małe, skromne wejście na wyżyny kontemplacji”. Takim właśnie prostem i skromnym nabożeństwem jest różaniec, a powtarzane przez katolika Pozdrowienia Anielskie mają w sobie coś z „następujących po sobie fal morskich albo z płomieni radosnego ognia, wiecznego rozwoju, wolaającego o bezmiar”.

Ojciec Faber (anglikanin, który nawrócił się na katolicyzm) pisał: „Nie mogę sobie wyobrazić człowieka żyjącego życiem wewnętrznym, który nie ma zwyczaju odmawiania różańca”. Różaniec pociąga wierzących swym mistycznym duchem. Praktyka ta jest zadziwiająco ustępstwem Kościoła dla naturalnego mistycyzmu, który liturgia w swych codziennych formach usiłuje raczej powstrzymać niż rozwijać.

Przedmiot rozmyślań różańcowych jest prosty, ale nie należy zapominać, że stanowi on jakby wstęp do dalszego rozwoju życia wewnętrznego. Należy więc zrobić wysiłek, by przywrócić mu jego wartość duchową, by uczynić zeń „modlitwą zdolną do wyciśnięcia wody ze skały”.

Na stosunku wielu wierzących do różańca zaciążył bezwzględnie jaśnieizm z jego wątpliwościami, skrupułami i nadludzkimi wymaganiami, jak również niechęcią do kultu religijnego. Trzeba pamiętać, że wszelkie wynaturzenia lub niedostateczna pobożność mogą zawsze być przedmiotem łatwej i złośliwej krytyki. Zewnętrzne ataki byłyby mniej niepokojące, gdyby od wewnątrz starano się nie dawać powodu. Różaniec mamrotany bezmyślnie, jak Msza odprawiana niedbale albo kazanie nie oparte na doktrynie, czyni więcej szkody religii niż wszelkie wrogie ataki.

Różaniec nie jest modlitwą uniwersalną, jak chcą tego niektórzy jego fanatyczni zwolennicy. Nie zastrzeżenie nawet milczącej modlitwy jaką jest „rozmyślanie” czy „kontemplacja”. Jest raczej przygotowanie do niej lub jej przedłużeniem. Nade wszystko jest godnym potępienia fakt zastępowania nim czasem modlitw mszalnych, rozwijających się zgodnie z czynnościami Ofiary. Jest zawsze nieodpowiednie zastępowanie nabożeństwem prywatnym udziału wiernych w funkcjach liturgicznych; powoduje to rozdrobnienie jedności, która powinna mieć miejsce tak między wiernymi, jak między asystą i celebrującym. Różaniec nie zastąpi modlitw związanych z Przenajświętszą Ofiarą, co więcej — psuje jej harmonię. W interesie samego na bożeństwa różańcowego trzeba zerwać z tą błędną rutyną, która go pozbawia jego prawdziwego znaczenia.

Różaniec jest modlitwą przynoszącą odprężenie, sprzyja skupieniu ducha po wysiłku, przynosi spokój, kres kłopotom codziennym. Różaniec jest także swego rodzaju „nabożną rozmową”: nieustanne powtarzanie przepisowych modlitw wzmacnia siłę stanów wewnętrznych w godzinach smutku i depresji odświeża umysł; rozmyślanie nad tajemnicami przyczyniają się do powstania czystych uczuć i zdrowych postanowień, które odrywają myśl od niekończącej

się łańcucha codziennych zajęć osobistych.

Odmawianie różańca polega na pobożnym recytowaniu modlitw liturgicznych, podczas gdy dusza zajmuje się świętobliwymi rozważaniami o tajemnicach, kontempluje, zastanawia się, przeżywa uczucia odpowiednie do okoliczności, w jakich się nam ukazuje Jezus Chrystus i Najświętsza Matka. Rozmyślania o tajemnicach są istotą różańca. Połączenie jednak odmawiania modlitw i rozmyślań nie jest rzeczą łatwą.

Wielokrotnie stawia się zagadnienie, czy możliwe jest rozmyślanie i modlić się w tym samym czasie. Istnieje szereg różnych zdań na ten temat. Według św. Tomasza



istnieją przy modlitwie trzy rodzaje uwagi: stopień pierwszy — to uwaga przykładana do wymawianych słów, stopień drugi — zastanawianie się nad sensem wymawianych słów, stopień trzeci, najwyższy — myśl zwraca się ku Bogu, do którego skierowana jest modlitwa.

Pewien uczony dominikanin powiedział, że „wtedy jest trudno połączyć modlitwę ustną z rozmyślaniami, gdy nie rozumie się tajemnic i wielkości nauki, jaką one zawierają”. A św. Augustyn twierdzi, że „głęboka myśl nie powinna być oddzielona od wygłaszania modlitwy”. Ale czy rozmyślanie nad

tajemnicami nie prowadzi do tego? św. Tomasz na to pytanie odpowiada: „że uwaga trzeciego stopnia, chociaż nieskończenie wyższa, nie wyklucza uwagi, która przywiązana jest do słów modlitwy, czasem może się zdarzyć, że dusza tak intensywnie wznosi się ku Bogu, że o wszystkim innym zapomina. Uwaga stopnia najwyższego nie przeszkadza wtedy istnieć i wystarczyć do uczynienia modlitwy uważną”.

Treść rozmyślań nad tajemnicami może się zmieniać w nieskończoność zależnie od okoliczności i od stopnia zaawansowania duchowego osoby modlącej się. Najważniejszym jest tu moment ten, że kontempluje się tu tajemnice dotyczące Jezusa i Maryi. Przykład św. Franciszka Salezego ukazuje nam dobrze, jak rozmyślania o Jezusie doprowadzają w sposób naturalny duszę pobożną do upodobnienia się do ideału.

„Życie najskromniejsze i życie najbardziej egzaltowane harmonizują się w naśladowaniu Boskiego wzoru”. A zastanawianie się nad odkupieniem przypomina, „że jesteśmy jednocześnie znikomymi i odkupieni, śmiertelnymi i przywróceni do życia, upadli i przeznaczeni do dziedzictwa chwały”.

Różaniec jest ostoją cnoty wiary, która jest początkiem i fundamentem życia chrześcijańskiego. Między modlitwą a życiem istnieje ścisła zależność. Praktyki religijne brane i wykonywane serio zbliżają do Boga i podnoszą człowieka moralnie; dotyczy to przede wszystkim modlitwy. Znajomość prawdy wiary daje katolikowi jasną orientację w życiu i jednocześnie chroni jego wiarę od osłabienia i utraty. Modlitwa różańcowa przez ustawiczne przypomnianie nam prawd objawionych ma dziwną moc podtrzymywania wiary w duszach ludzi. I w tym tkwi istotny sens tego nabożeństwa.

Z. B. K.

## Nad nowym katechizmem

Dokończenie ze str. 3

ko i wszechstronnie ujęte podstawowe pojęcia religii katolickiej nie zostało okupione rezygnacją oddziaływania na jego postawę w bieżącym życiu. Katechizm ten nie przerodził się w małą encyklopedię naukową, ale pozostał katechizmem, książką związaną jak najbardziej z praktyką.

Ujęcie celu nadprzyrodzonego i pokazanie łączności z nim drogi życiowej każdego człowieka wprowadza od pierwszych stron katechizmu czytelnika w prąd logiki chrześcijańskiego życia z jej dewizą, iż „wiera bez czynków martwa jest”.

Świadomość celu pozadoczesnego zobowiązuje, zmusza do życia uporządkowanego, życia, w którym nasze działanie ujmujemy, w sensie ostatecznym, w perspektywie dążenia nadprzyrodzonego. Odczuwanie obecności Bożej jest dla katolika także odczuwaniem jego wezwania do uczestnictwa w Królestwie Bożym. Jest dobrze, jeśli świadomość tego wezwania towarzyszy człowiekowi stale. Jest dobrze, jeśli katechizm urabiający naszą postawę wobec życia konsekwentnie to przypomnienie przez wszystkie strony przeprowadza.

Prawda o nadprzyrodzonym powołaniu człowieka może być jednakże, przy fałszywym rozumieniu, zamieniona w wygodną kapliczkę usprawiedliwiająca nieobecność społeczną. Stąd szczególnie ważna jest głęboka interpretacja przykazania miłości. „Katechizm Religii Katolickiej” podkreśla to naczelnym miejscem jakie w wykładzie

nej wspólności, zjednoczonej braterstwem posiadania jednego Boga ludzkości.

miłości chrześcijańskiej zajmują przykazania, „na których cały Zakon zawisł i prorocy”. Drukuje rozstrzelonym drukiem — „Miłość chrześcijańska wynika nie tylko z uczucia, ale przede wszystkim jest aktem woli, która nas skłania do trwałego dążenia ku świadomości wybranemu przedmiotowi naszej miłości, aby go poznać i z nim się zjednoczyć”.

Sprawa jest tu postawiona od razu na mocnym gruncie. Nie wyłącznie sentyment, uczucie, ale w pierwszym rzędzie wola oświecona rozumem wskazuje chrześcijaninowi w Bogu przedmiot miłości, tej najbardziej niedoskonałej miłości ludzkiej. Każę mu ona trwale dążyć do Królestwa Bożego nie poza światem, ale w społec-

Miłość Boga oraz miłość bliźniego i siebie samego — w Bogu, wprowadza chrześcijanina w krąg obowiązków. Rodzina, praca, całe współzycie społeczne sięgające poprzez własny naród ku ludzkości jest terenem wykonywania tych obowiązków. Obecnością swoją i dążeniem ku lepszemu doskonałszemu ich wykonywaniu daje katolik świadectwo swojej postawy. Katechizm jest jednym z wypróbowanych narzędzi kształtowania tej postawy. Można chyba wierzyć, że podkreślone tu rysy, które charakteryzują świeżo wydany „Katechizm Religii Katolickiej” sprawią, iż w ręku czytelnika stanie się on narzędziem dobrym i skutecznym.

Tadeusz Mazowiecki

Uwaga

Uwaga

KATECHIZM  
religii katolickiej

Cena Zł 10.-

Instytut Wydawniczy „PAX” Biuro Sprzedaży, Warszawa  
Mokotowska 43, P.K.O. 1-8515

Stefan LICHANŃSKI

# Pięć essay'ów z okazji »Pięciu dni straconych«

Z KRAJU  
„KULTURY PRZYSTOSOWANEJ“

Wstęp

CZY należy traktować serio kogoś, kto usiłuje w dwuszpalowym felietonie\*) „załatwić” Balzaka? Redakcja „Dziś i Jutro” stwierdza w poprzedzającej ów felieton notatce, że może on „być impulsem do wysnucia nowych, odkrywczych wniosków, a w każdym bądź razie do wzbogacenia naszej wiedzy o różnorodności percepcji utworu artystycznego”. „Wszystko racja” — jak mówi poeta — ale takie postawienie sprawy zwięża zakres zagadnienia, gdyż kładzie nacisk na wyjątkowość pozycji tego rodzaju co „Pięć dni straconych” Jakimiaka.

Zapewne, w druku takie publikacje ukazują się bardzo rzadko. Popełnia się jednak dość poważny błąd przyjmując a priori, że wszelkie takie mniej lub więcej nieobliczalne ekstrawagancje to wybrki jakichś tam zdiwaczałych oryginałów albo próby epatowania czytelników. W praktyce sąd ten bardzo często będzie słuszny, ale „często” to nie to samo co „zawsze”.

Kultura ma swoje oficyny, ukryte głęboko poza fasadą form uznanych za reprezentacyjne i charakteryzujące dla danego środowiska w danym okresie historycznym. Ma ona swoje nurty podziemne, swoje rozległe pogranicza, swoje „Dzikie Pola”, nieobjęte żadną stałą kontrolą, swoje lamusy i rupieciarnie, zarzucone beładnie pomieszanymi szczątkami minionych epok i okresów. Istnieje — słowem — strefa, w której nie czerpie się z głównych nurtów epoki, strefa pograniczna, w której płaczą się fragmenty myśli najnowszej z echem przeszłości, idee najbardziej świeżo i twórczo z pomysłami najbardziej dziwnymi i niedorzecznymi, tendencje zdrowe i płodne z za cofanymi i destrukcyjnymi, świadoma praca intelektu z czystym emocjonalizmem psychicznych odruchów.

Ten „no man's land”, rozciągający się pomiędzy dziedziną świadomej, twórczej i jak najbardziej wyeksponowanej kultury, którą żyją przodujące ośrodki kulturowe, a dziedziną samorodnych kultur ludowych, określić możemy jako strefę „kultury przystosowanej”.

Przystosowanej? Do czego? Do mentalności, która odwraca się już od kręgu kultury ludowej, a nie weszła — nawet choćby tylko jako rozumiejący ich sens i znaczenie obserwator — w główny nurt procesów kulturo-twórczych epoki. Mentalność ta, obciążona balastem właściwych swemu środowisku schematów światopoglądowych oraz norm zwyczajowych i obyczajowych, uwikłana w rozmaite pochwyty stąd i owąd a przyjęte za dobrą monetę nałogi myślowe i nastawienia emocjonalne, wchłania w siebie treści kulturowe fragmentami tylko, przetwarza je i przystosowuje do siebie samej. Zapóźniona zwykle w stosunku do bieżącego życia umysłowego i artystycznego co najmniej o jedno pokolenie, pozostaje w stosunku jeżeli nie zdecydowanej niechęci, to w każdym razie nieufności wobec wszelkich „nowinek”.

Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że w mniejszym lub większym stopniu przynależymy do tego kraju półkultury. Tkwi on w różnych naszych nałogach i uprzedzeniach, w niezdolności do zmiany poglądów

które skompromitowała rzeczywistość, w niechęci wobec nowych myśli, choćby najlepiej uzasadnionych, w uchylaniu się od stosowania prawideł gry, które obowiązują na jakim takim szczeblu życia umysłowego.

Felieton Jakimiaka wyprowadza nas na „Dzikie Pola” kultury i dlatego właśnie nie można go zlekceważyć. Nie jest to bynajmniej pozycja wyjątkowa, jest to właśnie pozycja typowa, sympatyczna.

## WOLA SĄDU I PRAWO SĄDU

ROZPRAWĘ z autorem „Komedię ludzką” zaczyna Jakimiak bardzo obiecująco: „Osądzę Balzaka tak, jak do tego ma prawo każdy czytelnik, surowo, gruntownie i wyraziście”. Cudowne zdanko! Przyznajmy jednak, że wprowadza nas ono od razu im medias res.

Postawiona w nim jest teza bardzo ważna i zasadnicza: czytelnik ma prawo „osądzić” autora. Zważcie: „Osądzić”! Nie „wypowiedzieć swoją opinię”, „podzielić się wrażeniami z lektury”, „wyrazić swoje poglądy”, ale — jasno i zdecydowanie, „surowo, gruntownie i wyraziście”: — „osądzić”.

Krytyka czytelnika — to bardzo ważna i cenna dziedzina życia kultury. Krytyka ta, będąc sformulowaniem bezpośrednich reakcji czytelnika na dzieło literackie, spowodują z przeżyć i wrażeń narzucanych przez lekturę książki, daje cenny materiał dla badaczy reprezentujących rozmaite dziedziny wiedzy. Dużo — i to pod jednym względem — skorzystać może z niej także pisarz.

Jakimiak wystąpił jako rzecznik owej krytyki czytelniczej, ale z miejsca poplątał sprawę. Wolno mu powiedzieć: „Nie lubię Balzaka, stokroć wolę Dickensa”. Gdyby nawet zamiast Dickensa wymienił Rodziewiczównę, nikt nie miałby prawa atakować go za to. To mu się podoba, tamto nie podoba — i sprawa załatwiona.

Ba! Ale Jakimiak ani myśli na tym poprzestać. „Osądzę”! — zapowiada groźnie i w dodatku, żeby to wyglądało jeszcze bardziej autorytatywnie i bezapelacyjnie, dodaje, że osądzi „surowo, gruntownie i wyraziście”.

Rzecz zasadniczą nie jest w tym wypadku pogląd autora „Pięciu dni straconych” na twórczość autora „Komedię ludzką”. Rzecz zasadniczą jest to, że pierwszy z owych autorów przekroczył swoje kompetencje zajmując się „osądzaniem” drugiego. Przyjmując bowiem postawę czytelnika omawiającego swoje wrażenia z lektury Balzaka sprowadził rzecz na płaszczyznę czysto subiektywnej impresji (co mu wolno) i tym samym zrezygnował z posługiwania się aparaturą krytyki naukowej (co mu także wolno). Ale skoro impresja, to impresja. Inne reguły obowiązują w meczu tenisowym, inne przy grze w „klipe”. Albo stawia się „obciążonego” przed jakimś uprawnionym trybunałem i w sposób przewidziany odpowiednimi przepisami skazuje się go na szubienicę, albo też po prostu wali się go pałą w łeb. Drugi sposób jest, oczywiście, daleko ekonomiczniejszy i prostszy, może jednak wzbudzać pewne zastrzeżenia co do swojej legalności.

Podobnie ma się sprawa z egzekucją Balzaka. Zaczęło się od wrażeń z lektury, skończyło się na tym, że „ani pod względem moralnym, ani artystycznym, ani intelektualnym nie jest Balzak pisarzem do polecenia” Hala! hala! „Ej, ty na szybkim koniu gdzie pędzisz, koczaczko?” Gdzie przewód sądowy,

przesłuchiwanie świadków, opinie biegłych, gdzie motywacja wyroku? Pan Jakimiak odczuwał podczas lektury Balzaka „coraz bardziej wzrastającą odrazę i niesmak”? W porządku! Ale to jest sprawa ściśle prywatna. I sąd o Balzaku wysnuty z takich subiektywnych doznań jest również sądem na użytek prywatny. Nie potrzebujemy — więcej — nie mamy prawa traktować go serio. Czytelnik — czy nie czytelnik — skoro zabiera się do „osądzania” kogoś, musi działać w sposób zapewniający jego sądom powagę i znaczenie. Jeżeli tego nie robi, mamy prawo dopatrywać się w jego praktykach chwytu niedozwolonego.

Ze kogoś rozplera „wola sądenia”, to jeszcze bardzo mało. Trzeba udowodnić, że się ma prawo do sądenia. A jak udowodnić? Dowodem jest intelektualna i moralna wartość metod, jakimi się posługujemy w rozprawie z przeciwnikiem. Bo w krytyce ten, kto oskarża, stawia się tym samym w stan oskarżenia i wydając wyrok na kogoś wydaje zarazem wyrok na siebie samego, dając świadectwo swoim kompetencjom prokuratorskim i sędziowskim.

## GRANICE KOMPETENCJI KRYTYKA

SPRAWĘ trzeba teraz podnieść na wyższe piętro, zebrać „obrok duchowy” poprzednich rozważań. „Osąd” Jakimiaka jest łatwy do skompromitowania, gdyż cały felieton pomiędzy punktem wyjścia (wrażenia z lektury Balzaka) a punktem dojścia (ów nie-szczęśny „osąd”) wypełniony jest albo argumentacją bardzo kulawą i niedołężną, albo też równie napastliwym jak głośliwym wymyśleniem. Rzecz nie sprowadza się jednak do kwestii metod. Metody mogłyby być nawet lepsze, a skutek mimo to byłby taki sam.

Mówi się czasem, zwłaszcza przy analizowaniu wierszy lirycznych, o tzw. „przeżyciu podstawowym” i zwykle opowiada się na temat tego przeżycia niesłychane cuda. Nie chodzi mi w tym wypadku o rozważanie naukowej zasadności wprowadzania tego terminu. Traktuję go jako określenie metaforyczne, jako prowizoryczną nazwę dla tego czesokresu, w ciągu którego jakieś wrażenie czy wyobrażenie zapoczątkowało w psychice poety ową ferment twórczy, z jakiego wyrosnąć ma dzieło. Tak rozumiane „przeżycie podstawowe” jest również zaczątkiem utworu krytycznego. Ze przeżycie to czerpie swój materiał z dzieła gotowego, nie stanowi bynajmniej różnicy zasadniczej. Różnica ta leży w czym innym.

Poeta musi wyczekać, aż jego przeżycie skonkretyzuje się w uchwytną w kategoriach formy poetyckiej wizję. Skoro ten moment nadszedł, może zaczynać „tworzyć”. Krytyk musi wyczekać, aż jego „przeżycie podstawowe” wykrystalizuje się w konkretny problem, i ten problem poddać analizie jak najbardziej dokładnej i wszechstronnej. Czy ten problem rzeczywistocie wynika z dzieła, czy też został w nie „wmyślony” przeze mnie? Czy jest to problem sensu stricto, a więc rezultat starcia się mojej myśli z myślą autora, czy też tylko afirmujący lub negujący odruch emocjonalny, bezwolne poddanie się sugestii lub też podświadome odepchnięcie treści dla mnie obcej, nowej, zaskakującej? Ta właśnie faza świadomej krystalizacji problemu, to w pracy krytycznej faza najważniejsza za-

równo z punktu widzenia jakości intelektualnej przyszłego utworu, jak i z punktu widzenia etyki zawodowej. Tu jest ów kocioł czarownic, w którym warzy się dzieło krytyki. Wszystko, co następuje później, jest już właściwie tylko techniczną obróbką.

Felieton Jakimiaka o Balzaku jest dlatego cennym preparatem do analizy, że pokazuje w sposób niemal komiczny zjawisko uchylecia się od krystalizacji. Krytyk zaczyna pisać w momencie, gdy pomiędzy materiałem (w tym wypadku dziełem Balzaka) a jego wrażliwością krytyczną nastąpiło pierwsze napięcie emocji, gdy wytrysnęła „pierwsza krew”.

Odruch wystarczył. Świadoma myśl zeszała do roli wyrobnika mającego znieść materiał dla budowy utworu, którego architektem stała się czysta emocja. Zdarzenie wcale nie tak rzadkie, jak chcieli by to widzieć pp. krytycy, którzy nad felietonem Jakimiaka będą wydziwiać z pogardą i niesmakiem. Ież razy zdarzało się im samym popełniać podobne nadużycia! Cała różnica w tym, że każdy z krytyków zawodowych potrafi posłużyć się lepszą argumentacją, sprytniejszą zamaskować psychologiczne pobudki swoich twierdzeń.

Ustrzec się przed zacierzeniem i niesprawiedliwością sądu, kiedy się ma do czynienia z odmiennymi poglądami, jest rzeczą stosunkowo łatwą. Gorzej jednak, kiedy się staje wobec odmiennego gatunkowo struktury życia psychicznego, kiedy nie może się nawiązać uczuciowego kontaktu z cudzym dziełem! Wtedy ludzka osobowość krytyka zjeżdża się odruchowo, pobudzona wrażeniem absolutnej obcości napotkanego zjawiska. I jeżeli ten odruch emocjonalny nie zostanie powściągnięty chłodną refleksją, to wtedy — jedzie się na całego. Krytyk czuje się bowiem zagrożony podwójnie. Po pierwsze: stwierdza empirycznie, że istnieją ludzkie mikrokosmosy ukształtowane inaczej niż jego „wspaniałe ja”, i przeżywa w związku z tym uczucia podobne do tych, jakich mogłaby doznawać Ziemia, gdyby czytała dzieło Kopernika „O obrotach ciał niebieskich”. Może to nie on bynajmniej jest odwrożeniem prototypu człowieka takiego „jaki być powinien”? Po drugie: uświadamia sobie, że jego narzędzie badawcze, jego kryteria oceny nie zdadzą się w tym wypadku nawet psu na budę. Czule się zagrożony w swym dobrym samopoczuciu jako człowiek i jako pisarz. I miałyby to tak łatwo przebaczyć sprawcy swojej rozterki duchowej?

Mniema się powszechnie, że dobrym krytykiem jest ten, kto potrafi pisać o każdym dziele i każdym autorze. Ktokolwiek jednak zastanawiał się nieco nad psychologią twórczości krytycznej, ten — mam nadzieję — przyzna, że daleko rozsądniej byłoby powiedzieć, iż dobrym krytykiem jest ten, kto potrafi we właściwym momencie zrezygnować z wydawania sądu.

## O TAKICH, KTÓRZY WIEDZĄ „CO TO JEST SZTUKA”

JAKIMIĄK twierdzi, że przeczytał cztery powieści Balzaka. „Komedia ludzka” natomiast składa się z 97 utworów, które splatają się i łączą ze sobą. Stanowi ona cykl, a raczej fragment cyklu („w stosunku do planu autora, nie była to ani trzecia część” — pisał Boy w swoim życiorysie Balzaka). Co znaczą wobec tego ogromu cztery powieści?

Czegóż więc właściwie dokonał Jakimiak, jeżeli chodzi o poznanie Balzaka? Spróbował, splunął i zawyrokował: „Świństwo!”.

Jeżeli niewłaściwość takiego stawiania sprawy rzuca się w tym wypadku w oczy, to dlatego, że tak potraktowany został Balzak, jedno z głównych bożyszcz panteonu literatury europejskiej. Gdyby jednak „osądzającym” był nie Jakimiak, ale któryś z uznanych i cenionych powszechnie asów krytyki, „podsądnym” zaś jakiś mały znany X. czy Y., nikt by nawet uwagi nie zwrócił na niewłaściwość takich likwidatorskich metod.

W każdym jednak podobnym wypadku działała ta sama zasada: ktoś kto „się zna” na literaturze lekceważącym i pogardliwym gestem wskazuje wyjście z panteonu zuchwałemu intruzowi.

Skąd bierze się ta obrzydliwa maniera oceniania czyjeś pracy „na wdech”? Owo zarozumiałe operowanie frazesami w rodzaju: „To nie jest sztuka!”? Uzasadnienie swoje czerpie ta oceniarska zarozumiałość z naiwnej wiary, że już się zna „istotę twórczości artystycznej”, że się złapało za nogi Pana Boga estetyki. Maniera ta jest odwrotną stroną medalu krytyckiego perfekcjonizmu estetycznego. Jeżeli ktoś lubi opowiadać historie o „osiągającej granicy doskonałości precyzji rzemiosła literackiego”, o „maesterii techniki pisarskiej” i wdychać: „To jest warsztat, panie, to jest robota!”, ten skłonny będzie także do dyskwalifikowania pisarzy na podstawie przejrzenia nierozciętej książki. Wiadomo, znawca!

Perfekcjonizmem wypadnie zając się osobno, gdyż jest to zagadnienie wymagające dokładniejszego naświetlenia. Tym razem porzestańmy na krótkim, szkicowym określeniu pojęcia „krytyk-perfekcjonista”. Któż to jest? Jest to taki pan, który szuka w dziele literackim doskonałości. Najważniejsze dlań kryterium to jego smak estetyczny, traktowany jako właściwa pewnym tylko jednostkom wrażliwość estetyczna o wielkiej subtelności i bardzo rozległej skali (wygodną analogię dla uzasadnienia wyjątkowości tego rodzaju uzdolnień stwarza fakt nieumysłowości dość sporego procentu mieszkańców kuli ziemskiej). Ale ta wrodzona właściwość wydoskonala się na skutek obcowania z arcydziełami. W tej chwili krytyk-perfekcjonista reprezentuje już bardzo wysoki szczebel „kultury smaku estetycznego” i jako taki ma prawo oceniać „na wdech” co jest sztuką, a co nie jest.

Dotarliśmy tu do „wstydlwego punktu” całej tej teorii. Okazuje się, że w praktyce sprowadza się ona do oceniania każdej nowej książki przez zestawienie jej z dziełami uznanymi za szczytowe osiągnięcia w dotychczasowym dorobku pisarskim ludzkości. Jest to więc teoria oparta na fałszywym arystokratyzmie (wiara w „wybranych”, obdarzonych nieomylnym smakiem), ciężąca ku konserwatyzmowi estetycznemu (dzieła już istniejące i cieszące się uznaniem jako wzorce) oraz schematyzmowi (ocenianie przez przymierzanie do owych wzorców).

Perfekcjonizm działa na krąg społeczny szerszy niż arystokracja „smaku estetycznego” i wytwarza nałogi normatywistycznego formalizmu. Jemu to mamy do zawdzięczenia rozmaite legendy o „rodzajach literackich” i don-kicholowe boje o czystość owych rodzajów. Z tego ducha wypływają wszelkie teorie na temat „właści-

(Dokończenie na str. 6)

\*) Por. w nrze 36 (302) „Dziś i Jutro” artykuł Zygmunta Jakimiaka: „Pięć dni straconych” (w sprawie Balzaka).

# Pięć essay'ów z okazji »Pięciu dni straconych«

ciwego rozumienia" pojęć takich jak powieść, dramat itp. oraz praktyczne zastosowania tych teorii.

Jak wyglądają one przetłumaczone na język „kultury przystosowanej”? Oto próbka: (Balzak) „Jako artysta nic nie stworzył godnego wagi. Nie ma u niego ani pięknych opisów przyrody, ani co najważniejsze, indywidualności... Nie ma u Balzaka ani jednego żywego odrębnego człowieka. Są tylko typy, czyli uogólnienia, martwe schematy... Dickens jest ludzkim artystą, gdy Balzak tylko napuszonym retorem.”

„Nie ma u niego pięknych opisów przyrody? Ba! ale czy w balzakowskiej wizji świata potrzebne były opisy à la Weissenhoff? „Charaktery” i „typy”... Znowu szkolarskie rozróżnienie i szkolarskie wartościowanie. A jeżeli autorowi potrzebne były właśnie „typy”, „schematy”, „uogólnienia”? (Pomijam już tę drobną okoliczność, że zarzut ten w odniesieniu do Balzaka w ogóle nie ma sensu i jest tylko dowodem antybalzakowskiego zacietrzewienia p. Jakimaka). „Żywi ludzie”... Ach, drogi panie, dokądże zajędziemy na takich przedpotopowych teorematkach? Ludzie książkowi są „żywi” zawsze tylko w pewien konwencjonalny, umowny sposób. Z punktu widzenia swojej konkretnej funkcji w określonym dziele sztuki bohaterowie Maeterlincka są nie mniej „żywi” niż bohaterowie Reymonta.

Nie istnieją żadne „walory formalne” same dla siebie. Nie ma w dziele formy „jako takiej”. Jest tylko ukształtowana w pewien konkretny sposób materia dzieła — zespół ujętych w formy zdaniowe znaczeń.

I kto nie chce tego zrozumieć, ten nie rozumie immanentnej dynamiki dzieła i nie rozumie dynamiki procesów kulturowych. Biega nad warkną rzeką ze swoimi rameczkami, próbuje przymierzać do nich poszczególne fale wielkiego strumienia i wreszcie — zmęczony daremnymi trudami — siada pod krzaczkiem płacząc, że nie ma już „prawdziwej” sztuki, ani „prawdziwej” kultury.

## „KOMPLEKS KAMIENIA FILOZOFICZNEGO”

**B**ALZAK — to wielone burżuazystwo, Dickens — to wzór pisarza - humanisty, „Jakimiak — to autor najlepszej polskiej pracy krytycznej o Balzaku”. Formuły tego rodzaju pociągają swoją prostotą i lapidarnością. Są one jak kostki bullonu: skondensowana pożywka intelektualna. Nauczyć się jednego takiego sloganu na pamięć — i już się wie, kto to był Balzak.

Ale co kryje się za gustem do sloganu? Co inspiruje ową pogonę za formułą-etykietką?

Niewątpliwie, pragnienie znajdowania odpowiedzi pewnych, ostatecznych, które mówiłyby wyraźnie: „X jest to to a to”. Ale poza tym przerostem popędu poznawczego kryją się rzeczy inne, bardziej niepokojące. Przede wszystkim w tym pogoni za możliwie najprostszym, najbardziej lapidarnym sloganem uderza lęk przed komplikacją, przed wielopłaszczyznowością zjawisk i lękiem tym inspirowana jest niechęć do intelektualnej sumienności rzetelnego badacza, który odrzuca schematyzujące uogólnienia, każdą hipotezę obstawia zastrzeżeniami i wątpliwościami, każde twierdzenie każe traktować jako prowizoryczne, uzależnione od sta-

nu wiedzy w danym czasie. Ale na tej niechęci amator formuł nie kończy, bo przecież każda formuła domaga się dopełnienia w innej formule, każdy schemat woła o dalsze schematyzacje. Szatan konsekwencji czuwa i kusi, aż podsunie wreszcie pokusę najbardziej sugestywną i nieodpartą: pokusę znalezienia własnej, przez siebie wymyślonej formuły głównej, uniwersalnej, formuły-matki, z której można będzie dedukować wszelkie formuły pochodne.

Tak rodzi się „kompleks kamienia filozoficznego”: pragnienie wzięcia w pacht prawdy najwyższej i ostatecznej, pragnienie, które realizuje się zmieniając prawdę w jej karykaturę przystosowaną do umysłowości odkrywcy.”

Celem staje się nie słuzenie prawdzie, ale posiadanie prawdy. Dla nieszczęśliwca z „kompleksem kamienia filozoficznego” prawda potrzebna jest po to, aby mu powiedziała jego własne istnienie, aby dawała mu poczucie, że jest jej dysponentem i strażnikiem.

Jeżeli ktoś wymyśli własny „kamień filozoficzny”, to jeszcze pół biedy. Niepodobna co prawda powiedzieć takiego głupstwa, którego by przynajmniej paru durniów nie potraktowało na serio, ale ostatecznie społeczna szkodliwość działalności rewalatora swoich prywatnych objawień nie jest zbyt wielka. Gorzej bywa, gdy takiemu przyjdzie do głowy użyć samą wymyśloną przez siebie „prawdę” z jakąś wielką i żywotną ideą, dysponującą potężnymi organizacjami i instytucjami. Po pierwsze: ubożuchna jego mentalność trywializuje i banalizuje ową ideę na swój nieszczęsny obraz i swoje żalosne podobieństwo; po drugie: zyskuje on możliwość oddziaływania na szersze zbiorowiska ludzkie; po trzecie: jest on urodzonym kandydatem na Torquemadę czy Savanarolę i może opętane swoimi sugestiami rzecze „zdynamizować” w sposób jak najbardziej niepożądany.

Przypuśćmy jednak, że ów domorosły fra Girolamo nie znajduje okazji do czynnego manifestowania swego „dynamizmu ideologicznego”. Pozostaje mu wtedy dziedzina oddziaływania drogą pośrednią, popularyzowania swoich przekonań za pomocą druku. I oto rodzi się pisarz tabutysta.

Obcą mu jest radość twórczej pracy intelektualnej, obcą rozkosz zmagania się z trudnościami warsztatu pisarskiego i przewyżczenia tych trudności. Pisarstwo zarówno własne jak i cudze traktuje on jako sui generis przeżycie kompensujące („Słowo jest czynu testamentem”). Nie dostrzega on indywidualności dzieł i indywidualności twórców, nie rozróżnia odmienności postaw pisarskich i nie troszczy się o ich walor kulturowy, o ich nowość, odrębność, o komplikowanie się dzięki tej nowości i odrębności problematyki kulturowej. Każdą myśl cudzą musi sprowadzić do jakiejś ogólnikowej formuły, którą będzie mógł przymierzyć do któregoś ze schematów leżących w jego lamusie „wartości kulturalnych”. Przymierzy, zbada czy pasuje, czy nie — i „osądzi”, „surowo, gruntownie i wyraziście”).

Na tym właśnie polega jedno z głównych niebezpieczeństw „kompleksu kamienia filozoficznego” dla kultury, że pod jego czaarem wszelkie uogólnienia empiryczne, teorematy i hipostazy zamieniają się w absolutne, niewzruszone do-

(Dokończenie ze str. 5)

gmaty (lub też zostają apodyktycznie uznane za pozbawione jakiegokolwiek wartości). I to, co mogło być ważne i użyteczne jako sformułowanie prowizoryczne, jako hipoteza robocza, albo z miejsca zostaje uznane za pewnik, albo też z miejsca odrzucone.

Jest to traktowanie spraw kultury w kategoriach „tabu”. Ale sprawa „tabu” i „tabuterii(\*)” to już inna historia, której musimy poświęcić następny essay.

## „TABU” I „ZWIERZĘTA METAFIZYCZNE”

**P**OZORNIE felieton Jakimiaka jest bardzo antytabustyczny. Jakimiak wchodzi w kapeluszu na głowie do panteonu, pociąga za nos Balzaka i pyta: „Za co ciebie właściwie wsadzili na ten cokół?” Jak dotąd wszystko w porządku. Takie „bluznierstwo” stwarza dobrą okazję do rozpoczęcia rewizji naszego stosunku wobec dorobku pisarskiego Balzaka. Możliwe, że rewizja ta skończyłaby zawieszeniem nowych wieńców na cokole pomnika twórcy „Ojca Goriot”, ale w każdym bądź razie w wyniku rozprawy na ten temat dyskusji unowocześniły się i uległy przeobrażeniu nasz stosunek do Balzaka. A to zawsze coś warte.

Ale Jakimiak zwalcza jedno „tabu” w imię drugiego. Chce zważyć Balzaka po to, by na jego miejsce usadowić Dickensa. Posługuje się w tym celu metodą krytyczną, którą należałoby określić jako metodę walenia pałką w łeb.

Co to ma wspólnego z kulturą, z naukową wiedzą o literaturze, z jakimkolwiek rozsądnym myśleniem? Dlaczego dobra powieść musi zawierać „piękne opisy przyrody”? Skąd wzięły się kryteria, na mocy których zdolni jesteśmy w wypadkach wątpliwych odróżnić „piękny styl” od „brzydkiego”? Dlaczego „typ” ma być czymś gorszym od „charakteru”, czy też na odwrót, jak twierdzą czciciele innych „tabu”? Co znaczy zdanie: „Świat stoi na nocie, choćby ona była niewidoczna, nie na zbrodniczych próżniakach, którzy błyszczą cynicznie ukradzionym zbytkiem”? Jak przetłumaczyć takie zdanie na język pojęć logicznie sprawdzalnych? Tak pojęta „cnota” to — jak mawiał stary Weller z „Klubu Pickwicka” — „zwierzę metafizyczne”.

Ale dość żartów. Można nimi nieszkodliwie takie czy inne tabu, ale niepodobna zniweczyć samej tabuterii. Źródło jej tkwi bowiem w charakterze umysłowości nastawionych na szukanie „kamienia filozoficznego”. Tabuterię należałoby określić jako produkt sklerozy aktywności intelektualnej.

„Każda purpura staje się kiedyś płaszczem, każda korona — czapką, ukochna — gospodynią domu” — mówi Hebbel w swoich „Dziennikach”. Dlatego też nie dajmy się zwodzić genealogiom tabu. Punkty wyjścia bywają zwykle cenne, genealogie — imponujące, ale punktem dościa jest martwość jałowego schematu. Cóż że na miejscu świętego krokodyla tabutysta postawi „cnotę”? To pojęcie cnoty, jakie on nam podsuwa „do wiadomości i stosowania”, jest już tylko zezwłokiem

pojęcia, z którego wyciekła wszelka żywa, organizująca treść.

Cnota traktowana wyłącznie jako ramka, przy pomocy której możemy sprawdzać cnotliwość własnych lub cudzych postępów? Nie, to nam nie odpowiada. Chcemy ją pojmować jako twórczy impuls wzbogacania i pomnażania form życia, jako energię dynamizującą nasze siły umysłowe i moralne, a nie jako rejestr sztywnych prawideł i przepisów, interpretowanych kazuistycznie czy po faryzejsku.

Tak jak musieliśmy zaprotestować przeciw tabuterii moralnej, tak samo musimy przeciwstawić się wszelkim jej odmianom. Tabuteria w ostatecznych swoich konsekwencjach prowadzi do chiniszczyny, do znumifikowania kultury, wiedzy i sztuki w usankcjonowanych raz na zawsze formach. Pasożytuje ona na zastanym dorobku kultury zasypując zarazem źródła jej twórczego rozwoju. A czyni to przeważnie przy akompaniamencie najwznioślejszych hasła. W imię najszacowniejszych „tabu” i najczelniejszych „zwierząt metafizycznych”.

## BALZAK I DICKENS NA CENZUROWANYM

### Zakończenie

**R**OZWAŻANIA snute w pięciu powyższych essayach, wybiegły daleko poza bezpośrednią analizę felietonu Jakimiaka. Chodziło mi zresztą o to, by „Pięć dni straconych” wykorzystać jako punkt wyjścia dla poruszenia zagadnień daleko większej ważności. Bardziej zainteresowało mnie w tym wypadku odszukanie psychologicznych umotywoowań tego tak osobliwego w tonie i treści ataku na Balzaka niż sam atak. Ważne było dla mnie także wykazanie, że Jakimiak to nie żadne enfant terrible, którego wybrkami można się bawić z ironicznym uśmiechem, ale symptom godny uwagi. Dlatego też położyłem nacisk na tę symptomatyczność, przechodząc raz po raz od felietonu Jakimiaka ku rozważaniom bardziej ogólnej natury.

Oczywiście, że rozważania te skreślone zostały w sposób nazbyt szkicowy, że do wielu myśli rzucanych powyżej wypadnie powrócić, rozwinąć je szerzej, powiązać ze zjawiskami o znaczeniu bardziej zasadniczym, ale to już inna historia.

Obecnie czuję się w obowiązku powrócić do „Pięciu dni straconych”.

Stefan Lichński.

## Książka dla starszych dzieci

**P**IAŹKA Janiny Skowrońskiej-Feldmanowej pt. „Jak Wojtek został dyrektorem teatru” jest nie tylko interesująca dla dzieci około lat 12, bo dla młodszych może być nieco za trudna, ale i ze wszechmiar pożyteczna. Opowiadanie o 12 letnim Wojtku, który został dyrektorem teatru dzięki swemu wielkiemu zapałowi i spontanicznemu zainteresowaniu sztuką teatralną, stanowiącemu główną treść książki, trzyma nie tylko młodocianego czytelnika w napięciu uwagi. Przeczytają ją z zainteresowaniem również i dorośli.

Zachwył Wojtką dla teatru udziała się również i czytelnikowi. Które zresztą dziecko nie lubi teatru? Przedsiębiorczość i pomysłowość małego bohatera w realizowaniu swych planów, umiejętność przewyżniania trudności, jakie syn biednej wdowy, posługaczki napotyka na swej drodze do celu krzepiąco wpływa na młodzież i stanowi duży walor pedagogiczny książki.

Zdawało się, że wszystko sprzyjało się przeciw Wojtkowi, nawet własna matka.

nych” i przypomnieć twierdzenie Jakimiaka o wyższości Dickensa nad Balzakiem. Dyskusja na temat, który z tych dwu wielkich prozaików jest większy od drugiego i o ile metrów czy centymetrów, byłaby oczywiście i niedorzeczna, i jałowa. Inaczej jednak będzie wyglądała sprawa, jeżeli zapytamy, który z tych dwu pisarzy wydaje się nam dzisiaj bardziej aktualny, którego chętniej polecimy czytelnikom i postawimy za wzór młodym autorom?

Pamiętajmy, że pozycję Balzaka umocnił u nas tak zręczny i biegły „bronzownik” jak Boy i że do dzisiaj na wielkość autora „Lili w dolinie” przysięgamy zazwyczaj in verba magistri. Gdyby Jakimiak nie był tak zapalczywym i niecierpliwym świętokradcą, mógłby odszukać innych mistrzów, którzy swoimi autorytetami paparliby jego atak.

Choćby np. taki Sainte-Beuve, ojciec nowoczesnej krytyki literackiej, który u „Mes poisons” pisał: „Najpłodniejszemu naszemu powieściopisarzowi, Balzakowi, trzeba było kupić gnoju wielkiej jak ten dom, aby na niej wyrosło kilka rzadkich i chorych kwiatów. Teraz nie ma już kwiatów i już nie wyrosną, a kupa rośnie, rośnie ciągle...”

Boy, cytując ten sąd, nazywa go wręcz „niedorzecznym”, ale Boy był zanadto mocno zaangażowany uczuciowo po stronie uwielbianego przezeń Balzaka, ażeby można przyjmować jego opinię bez zastrzeżeń.

Nie o to zresztą chodzi czy rację ma Boy, czy Sainte-Beuve, czy Jakimiak, czy jeszcze ktoś inny. Nie ma myśli zupełnie osamotnionych, ściśle prywatnych. „Pięć dni straconych” jest sygnałem, że Balzaka krytyka katolicka powinna odczytać na nowo i poddać rewizji swój stosunek do niego. Jakimiak zrobił to po partacku, ale jego partactwo nie uwalnia innych od obowiązku zajęcia się z katolickiego punktu widzenia „Komedią ludzką”.

Ale oprócz Balzaka jest także Dickens, Dickens postawiony za wzór, za nieoszacowane remedium na zepsucie, jakie szerzy lektura Balzaka. Myślę jednak, że pozycja Dickensa nie jest wcale tak mocna, jak mniema Jakimiak. Warto zabrać się do Balzaka. Warto także do autora „Klubu Pickwicka”. „Ale — jak to powiada poeta — kto się odważy? Kto się odważy?...”

\*) Słowa p. Jakimiaka zacytowane są tu jako reprezentatywne dla pewnego typu postawy pisarskiej, a nie jako bezpośrednia aluzja do wypowiedzi autora „Pięciu dni straconych”.

\*) Terminy „tabu” „tabuteria” „tabustyka” użyte są tu w tym znaczeniu, jakie nadał im Frykowski w „Słowniu wśród porcelany”.

Br. Yves CONGAR

# WYPowiedź Teologa

**W** ŚRÓD licznych wypowiedzi, jakie padły w toczonej na terenie Francji dyskusji na temat filmu „Dieu a besoin des hommes”, wyróżnia się głębokim potraktowaniem poruszonych w filmie problemów głoszonego dominikańskiego teologa br. Yves Congar (La Vie Intellectuelle mai 1951).

Film „Bogu potrzebni są ludzie” ukazuje w szeregu obrazów ludzi dopełniających zewnętrznych praktyk religijnych, domagających się odprawiania ceremonii kościelnych, lecz niestety, kierujących się nie wewnętrznym pragnieniem dążenia do Boga, ale przede wszystkim poszanowaniem pewnego „tabu”, lękiem przed grzechem, bo on może sprowadzić nieszczęście, lękiem przed śmiercią i życiem pogrobowym. Ludzie ci wierzą, to jest oczywiste, lecz jaka jest ta wiara? Z postawionym w ten sposób zagadnieniem wiary łączy się w filmie drugie zagadnienie — kapłaństwa. Czy rzeczywistość ludzka musi być pośrednicząca między człowiekiem i Bogiem? Czy istnieją akty decydujące dla naszej przyszłości duchowej, których dopełnić mogą jedynie niektórzy ludzie? A jeśli brak tych ludzi wśród jakiejś społeczności chrześcijańskiej, czy może dokonywać ich jakikolwiek człowiek, wzięty z grona świeckich? W kilku obrazach filmowych ujęty jest problem działania kapłana i człowieka świeckiego, zagadnienie: co świecka jednostka może uczynić dla chrześcijaństwa, czy Kościół istnieje również tam, gdzie brak wyświęconych przez niego kapłanów i wreszcie, czym byłby Kościół składający się z samych tylko ludzi świeckich?

Zagadnienia te ściśle łączą się ze sobą, gdy chodzi o rozważanie spraw wiary, religii i Kościoła.

Tytuł filmu brzmi „Bogu potrzebni są ludzie” — treść jego natomiast wykazuje, że to ludzie potrzebują Boga, a by dojść do Niego, potrzebni im są inni ludzie i pewne czynności zewnętrzne.

## WIARA A SAKRAMENTY

Drogą ludzi do Boga jest wiara — i w rzeczywistości innej drogi nie ma. Nie należy jednak ograniczać się do pojęcia wiary indywidualistycznego, intelektualnego, czysto „wewnętrznego”, takiego, jakie podaje nam — czy to w szkole czy na wyższych uczelniach — nauka religii wykładana w świecie różnych światopoglądów, w którym wiara nabiera charakteru przekonania osobistego. Według nauki Kościoła „wiernym” jest w zasadzie każdy człowiek ochrzczony, przystępujący do sakramentów, biorący udział w tradycji duchowej i modlitwie wspólnoty chrześcijańskiej, związany z wykonywaniem kultu i postępujący według etyki chrześcijańskiej — a więc członek Kościoła, który dla osiągnięcia najbardziej osobistego celu duchowego związany jest z szeregiem środków umożliwiających mu dostąpienie Łaski. Środków tych nie występuje on sam, pochodzą one bowiem od pierwszego, zasadniczego i jedyne źródła Łaski — Jezusa, Syna Bożego, który stał się Ciałem. Dlatego też ulegając prawom instynktownej logiki zakrystian Tomasz z filmu bierze słowa „Homo factus est” za zasadniczy motyw swego kazania.

Lecz nie ma wiary bez sakramentów wiary. Wiara, będąca darem nadprzyrodzonym, staje się udziałem człowieka złożonego nie tylko z ducha, ale również i z ciała, odbija się ona w jego strukturze psychicznej i moralnej. A struktura ta jest tego rodzaju, że człowiek odczuwa potrzebę wyrażenia swego najbar-

ziej duchowego życia wewnętrznego za pomocą aktów zewnętrznych.

Potrzebny jest wyraz zewnętrzny i pewne minimum „rzeczy”, by nawiązać łączność z innymi ludźmi. Czy to będzie Kościół, społeczeństwo czy zrzeszenie — każda z takich organizacji musi posługiwać się jakimiś symbolami zewnętrznymi, słowami, formami działalności publicznej itp.

Brat Congar pragnie przede wszystkim rozważyć zagadnienie, w jakiej mierze wierni potrzebują zewnętrznego wyrażenia swej wiary, by osiągnąć pełnię życia duchowego: w jaki sposób to wszystko, co się rodzi z wiary, wymaga uwieńczenia w sakramentach wiary w najszerszym pojęciu tego terminu.

Wiele na to przykładów znaleźć można w Biblii. Br. Congar przytacza ich kilka, niektóre z nich to nawiązywanie łączności, zawieranie przymierza między ludźmi, np. Jakub i Laban, Dawid i Jonatan, lecz w Piśmie św. widzimy również przykłady zawierania przymierza między Bogiem i Jego ludem (na górze Synaj), między Bogiem i Dawidem. Związek taki jest aktem duchowym, lecz połączony jest z jakimś obrzędem i wyraża się znakiem zewnętrznym nazwanym w Piśmie św. „świadectwem”. Np. Laban mówi Jakubowi: „Chodź, zawrzyjmy przymierze, zawrzyjmy przymierze, ja i ty, i niechaj będzie świadkiem między mną i tobą”. Jakub wziął kamień i położył go” (Gen. XXI 44 s.). Z innych przykładów wymienia O. Congar małżeństwo, które jest również zawarciem przymierza, przy czym niezależnie od obrządku, według którego ludzie go zawierają, posługują się zawsze znakami zewnętrznymi.

Powyższe przykłady mają aspekt społeczny, zupełnie jednak tak samo przedstawia się to zagadnienie w sferze spraw indywidualnych. Człowiek musi wyrazić swoją myśl. Scholastyki twierdzą, że umysłowość tworzy słowo wewnętrzne, to znaczy — przynajmniej wewnętrzny wyraz tego, czym została zapłodniona, a to z dwóch przyczyn: albo przez nadmiar — jak u Boga, albo przez ubóstwo — jak u nas. Akt duchowy zostaje uzupełniony przez stworzenie obiektywnego wyrazu.

Scholastyki również wykazali, że istotne przyjęcie sakramentu uzupełnia akt wewnętrznego pragnienia (św. Tomasz, Sum. theol.). Przez wiary i pragnienie łączymy się z Męką Pańską, dopełniamy nasze życie moralne i religijne, udoskonalamy nasze modlitwy i uwielbienie Wcielonego Słowa, Chrystusa Odkupiciela, natomiast nie korzystamy z działania Łaski tak, jakbyśmy z niej korzystali przyjmując istotnie sakrament. Chrystus bowiem daje Łaskę oddziaływując bezpośrednio na nasze dusze, ale zwykle działa na nią, zgodnie ze swą obietnicą, poprzez sakramenty Kościoła.

W omawianym filmie zagadnienie wiary i zagadnienie kapłaństwa łączy się ze sobą ściśle w patetycznych epizodach rozgrzeszenia położnicy lub powieszenia matkobójcy, a w szczególności w epizodzie, gdy Tomasz przygotowuje się do odprawienia Mszy św. Analogiczne przykłady znaleźć można zresztą i w historii.

Na Wschodzie od r. 800 do 1300, a na Zachodzie od 1000 do początku XVI w., dopuszczalne i praktykowane było spowiadanie się ludziom świeckim. Na Wschodzie spowiedź odbywano przed mnichami nie będącymi kapłanami. Na Zachodzie zaś początkowo praktyka ta była przyjęta w stosunku do grzechów powszednich. Wyznawanych tak kapłanowi jak i osobom świeckim. Od w. XI zaś nawet z grzechów śmiertelnych

spowiadano się świeckim osobom, gdy nie było w pobliżu księdza. W w. XII spowiedź taka była nawet nakazana w razie potrzeby. Scena rozgrywająca się w łodzi byłaby w owym czasie uważana za rzecz zupełnie naturalną.

W czasie wielkich wypraw wojennych istniał jeszcze inny zwyczaj. Rycerze niejednokrotnie zabierali z sobą Eucharystię, by udzielać Komunii św. umierającym towarzyszom. A w naszych czasach takie fakty również miały czasami miejsce, w szczególności w obozach. A oto inny jeszcze zwyczaj — przytoczony również przez O. Congar — posiadający głębokie i wzruszające znaczenie. Nie mając prawdziwego, konsekrowanego przez kapłana Chleba umierający rycerze zrywali liście lub trzy źdźbła trawy i przyjmowali je, czasem z rąk towarzyszy, jako „Corpus Dei” (Teaert „La Confession aux laics dans l'Eglise latine du VIII au XIV siècle”). Jeśli określamy zwyczaj ten jako piękny, to nie tylko z „romantycznego” punktu widzenia. Rycerze nigdy nie pokusiliby się o konsekrowanie Eucharystii, lecz jednocześnie nie zadowalała ich Komunia duchowa — swemu pragnieniu przyjęcia Boga chcieli nadać formę materialną. Jak umierając w w nieobecności kapłana uciekali się do pośrednictwa bliźnich, by pogodzić się z Bogiem, tak też w braku konsekrowanego Chleba, dla wzmocnienia niejako Komunii duchowej, uciekali się do pośrednictwa natury dającej nam chleb i wino.

W obu wypadkach, choć w różnych warunkach, wewnętrzna wiara szuka drogi uzewnętrznienia się, należenia widzialnych, dotykalnych form, które by stały się jej wyrazem.

Można stwierdzić, że mieszkańcy wyspy z filmu kierowali się w dużej mierze „przesadami” i przypisywali się nadprzyrodzoną przedmiotom samym w sobie. Ale jednocześnie odnosimy głębokie wrażenie, że duchowy akt wiary jest warunkiem wszystkiego do tego stopnia, że gdy nie istnieją rzeczy zewnętrzne, w których wiara mogłaby się dopełnić, ona stwarza je sobie, bo ich potrzebuje. Daje sobie przedmiot i rzecz, by nabrać pełni, daje sobie sama sakramenty, których jej brak.

## ŚWIECCY A DUCHOWNI

Tu powstaje nowe zagadnienie. Jeśli wiara potrzebuje uzewnętrznienia się i przez własny dynamizm zdolna jest odtwarzać sakramenty, które się z nią wiążą, to może się w związku z tym nasunąć pytanie czy sakramenty te mają to samo znaczenie i wartość jak te, których udziela Kościół. Czy Kościół zakrystian Tomasz z filmu jest rzeczywistością Kościołem? W jakim stopniu zgromadzenie wiernych zdolne byłoby siłą dynamiki swej wiary stać się organizmem sakramentalnym?

Wśród otaczającej nas natury możemy zauważyć wypadki pełnej regeneracji, np. z uciętej gałązki rośliny może wyrosnąć nowa roślina samotnie żyjąca, ale jeśli natomiast człowiek utraci np. nogę, to choćby nawet przez siłę nerwów i woli uwiirzył, że tę nogę nadal posiada, to jednak w niczym nie zmieni to faktu rzeczywistego jej braku. Podobnie jest z mieszkańcami wyspy, gdy przeszedł Tomasz o udzielenie im rozgrzeszenia czy namaszczeń sakramentalnych. Br. Congar uważa, że należy z teologicznego punktu widzenia postawić pytanie, jak daleko sięgać może dynamizm wiary.

Wiara dąży do wyrażania się w znakach zewnętrznych. Pozwala to na stworzenie kultu zewnętrznego idącego od ludzi do Boga. Lecz to

nie wszystko. *W sakramentach nie wystarcza widzieć zbliżenia ludzi do Boga, trzeba przede wszystkim widzieć zbliżenia się Boga do ludzi.* Chodzi nie tylko o to, by przez wiarę łączyć się z Chrystusem Wcielonym — naszym pośrednikiem, lecz by od Niego ku nam płynęło źródło życia wszystkimi drogami przez Niego ustalonymi, płynęło ku nam i obdarzało nas skarbniami Łaski i Prawdy. Dlatego właśnie Chrystus ustanowił Apostołów, aby ich następcy, drogą sakramentów, umożliwiali nam uzyskanie Łaski dające Wiarę.

Znaczenie instytucji kapłaństwa jest jasne i każdy katolik je uznaje. Instytucja kapłaństwa jest instytucją zbawienia, nie trzeba jej tworzyć, bo jest ustanowiona dla pośredniczenia w łączeniu się człowieka z Bogiem. Racja jej bytu leży w tym, że światłość i zbawienie zostały nam przyniesione przez Jezusa Chrystusa, Wcielonego Syna Bożego, a więc płynąć muszą spoza nas, z góry. Ludzkość jest jak jezioro, do którego woda dopływa nie ze znajdujących się na dnie źródeł, lecz przez specjalnie wybudowane kanały ze źródła położonego na wzniesieniu. Tym źródłem jest Osoba, której wszechmocna wola stworzyła kanały: apostołstwo Kościoła, instytucję zbawienia.

Rola duchowieństwa hierarchicznego czyli apostołskiego polega na tym, że duchowni są tymi „kanałami” doprowadzającymi Prawdę (słowo Boże i Łaskę) sakramenty (Chrystusa Wcielonego aż na krańce świata) Act. 1,8) i aż do końca świata (Mat. XXVIII, 20). Dzięki ich pośrednictwu religia jest nie tylko naszą religią, emanującą z nas, wyrażającą gesty naszej duszy, lecz religią Syna Bożego, a więc doskonałym uwielbieniem Boga. *Rola Hierarchii apostołskiej jest realizowaniem Kościoła jako wielkiego „Sakramentu” i środka do zjednoczenia ludzkości z Bogiem w Chrystusie.*

Lecz dar Boga wymaga odpowiedzi ze strony człowieka — wymaga, jak lubiny to określać, uczynku. Wszystko dane jest przez Boga w Jezusie Chrystusie, ale „działane” jest wszystko przez człowieka, który na to, aby był zdziwiony, musi dobrowolnie tego pragnąć i współdziałać z Łaską. Odpowiedź człowieka na dar Łaski, współdziałanie z Łaską jest udziałem wiernych, świeckich i duchownych, bo i duchowni przecież są przede wszystkim wiernymi, którzy, by uzyskać zbawienie, muszą zrobić dobry użytek z daru Łaski i daru światłości, których są „kanałami”. Do zakresu tej odpowiedzi i działania człowieka należy również apostołstwo i dawanie innym budującego przykładu. Apostołstwo jest, ogólnie biorąc, szerzeniem osobistego przekonania, jest dziełem życia. To jest właśnie prawdziwy zakres działania człowieka: wierzyć, kochać, mówić o Bogu, wspomagać bliźnich, wywierać na nich chrześcijański wpływ, pokutować i żyć w jedności z Bogiem w oparciu o otrzymane dary.

Ze wierni tworzą Kościół, o tym wiatici nie mogą ci, którzy oglądali film „Bogu potrzebni są ludzie”. I tworzyć go powinni, bo mało jest błędów, które by pociągnęły za sobą tak szkodliwe konsekwencje jak ten, że widzi się Kościół tylko tam, gdzie jest duchowieństwo.

Wierni są Kościołem. Historia wykazała, że niejednokrotnie Kościół powstawał tam, gdzie ludzie świeccy rzucili pierwsze ziarno Ewangelii. Tak np. stało się, gdy około 250 r. Goci uprowadzili do niewoli chrześcijan. A podczas ostatniej wojny ileż było przykła-

dów, że chrześcijanin wywieziony do obozu czy pracy przymusowej zabierał ze sobą Pismo św., głosił je i gromadził wokół siebie małą społeczność chrześcijańską.

## SAKRAMENT KAPŁAŃSTWA

Wypadki te są nie tylko wzruszające, lecz również bardzo ciekawe z punktu widzenia teologicznego. Wykazują one, jak wielką rolę przypada świeckim w życiu Kościoła. Na podstawie kilkunastoletniej tradycji, nie potępionej nigdy przez władze kościelne, w wypadku braku księdza, świeccy mogą nawet słuchać spowiedzi współbraci i widząc prawdziwą skruchę i pragnienie uzyskania rozgrzeszenia, zapewnić ich o przebaczenie ze strony miłosiernego Boga.

To jest bardzo wiele, ale *to wszystko może istnieć jedynie w oparciu o Kościół, którego struktura została ustalona przez apostołstwo hierarchiczne.* Ludzie świeccy mogą utworzyć chrześcijańską społeczność lub kierować nią — ale nie mogą z niej utworzyć w pełni Kościoła, gdyż nie dysponują ani władzą duchową ani charyzmatami, nie udzielony im został sakrament kapłaństwa, który został udzielony Apostołom. Według tradycji i przepisów wiary apostołskiej, osoby świeckie nie mogą być bierne, lecz jednocześnie działanie ich jest ograniczone do wierności osobistej, natomiast nie posiadają charyzmatów powierzonych ciału apostołskiemu dla umocnienia struktury Kościoła. A co najważniejsze: będąc nawet najbardziej gorliwymi i wiernymi, nie mogą zrealizować sakramentalnej obecności samego Chrystusa.

Cała działalność Kościoła ma na celu doprowadzenie ludzi do Boga, złożenie z nich ofiary Bogu. Dokonywane jest to w ofierze Eucharystii, w której całe dzieło apostołstwa znajduje w ten sposób swą pełnię. I dlatego właśnie pełnię apostołstwa posiadają jedynie kapłani. Dlatego też nawet i to, co może być dokonywane zarówno przez osobę duchowną jak i świecką, nie jest takie samo. Słowa kapłana nie są wypowiedzią czysto osobistą, lecz w pewnej mierze mają udział w autorytucji i charyzmaty apostołstwa hierarchicznego. Ta sama różnica zachodzi również przy wypełnianiu innych czynności kapłańskich.

Obecnie mówi się powszechnie, że misje w prawdziwym tego słowa znaczeniu mają za zadanie nie tylko tworzenie kongregacji z ludzi nawróconych, lecz również zakładanie podwalin Kościoła wśród jakiegoś ludu oraz danie do dyspozycji tego ludu wszystkich środków zbawienia. Przyznać trzeba, że tak pojęte misje stanowią porządek hierarchiczny. Ludzie świeccy biorą w nim udział, dokonują doniosłych aktów, o których już była mowa lecz nie mogą dopełnić wszystkich zadań w całej pełni.

*Wypełnienie tych zadań należy w całej pełni do duchowieństwa, a nawet ściślej mówiąc — do biskupów, gdyż oni tylko posiadają moc udzielania sakramentu kapłaństwa, czyli sprawiania, by Ojara Chrystusa była dokonywana „aż do dnia w którym powróci”. Ecclesia est in episcopo — Kościół istnieje przez biskupa — mówił św. Cyprjan (Epist. LXVI, 8).*

Opracowała B. Hlaska na podstawie artykułu Br. Y. Congar O. P. „Dieu a besoin des hommes reflexions d'un theologien” (La Vie Intellectuelle, mai 1951).

JÓZEF słuchał. Kiedy zrozumiał, że Tomasz odmawia, wziął matkę za rękę i wyprowadził. Karabassen zostawszy sama z Tomaszem powiedziała:

— Gdyby ciebie nie było, pojechałby na łód do prawdziwego księdza, ty w tym przeszkadzasz.

— Przeszkadzam?

— Tak, bo jesteś tutaj. Im się wydaje, że mają proboszcza. Proboszcz. Piękne słowo, tak. Ale ksiądz to zupełnie co innego. To, co ty umiesz zrobić z chlebem, ogranicza się do zjedzenia. Ksiądz może z chleba zrobić Pana Boga.

Nie miał zamiaru nigdy próbować zrobić Pana Boga. Nie miał prawa. Miałby wrażenie, że Hostie palą mu ręce... Ale jednak... Po po grzbie Katarzyny Scholastyka została w kościele. Chciał wtedy, by wyszła, a jej wydawało się, że on

ba było już skończyć tą całą historię. Kiedy przyjechał, wiatr — tak zwykły w tej okolicy zdawał się wiać z niespotykaną siłą po małych uliczkach miasteczka. Na plebanii Tomasz nie znalazł księdza Kerherve. Spotkał go w chwili, kiedy zostawiał swoje ciężkie sabyoty w korytarzu.

— Księżu proboszczu — powiedział, kiedy weszli już do pokoju proboszcza — ksiądz powinien przyjechać na wyspę. Niedawno jedna dziewczynka umarła bez sakramentów, bez księdza.

— To rzeczywiście bardzo smutne, ale kto temu zawinił? — odpowiedział ksiądz.

Tomasz zaczął prosić księdza o przyjazd i ofiarował mu dwie złote monety przyniesione przez Franciszkę. Ale ku jego zdziwieniu, pro



się jej ból od czasu, kiedy został „proboszczem”. Czyż to nie prawda? Pokazała mu inną kobietę, która została w kościele Jeanne. A ona? — zapytała — Ona może zostać, jeśli jej się podoba.

I dajesz jej Komunię...

— Ja — jej?... jękał się Tomasz zdumiony.

— Sama mi mówiała.

Odprowadził Scholastykę do drzwi kościoła i wrócił do swojej bratowej.

— Czy naprawdę, Jeanne, opowiadasz, że dałem ci Komunię? — zapytał — Czy mówiłaś to?

— Tak.

— Komu?

— Właśnie jemu. Dlatego, że chciała zacząć od nowa. Wtedy mu skłamałam, iż rano przyjmowałam Komunię. Kiedy o tym się dowiedział, nie próbował mnie nawet dotknąć. Sam rozumiesz, miałam dostateczny powód, by kłamać.

— Nie, Jeanne, zrobiłaś mi krzywdę — powoli tłumaczył Tomasz ciężko operując się o kolumnę. — Odmówiłem przecież Pana Boga Katarzynie, kiedy była umierająca. Teraz ty opowiadasz, że dajesz Go tobie.

— Pomyśl, teraz kiedy opowiadasz, że dostałaś Komunię św., co oni wszyscy będą o mnie myśleli...

— Powinieneś być dać biednej Katarzynie...

— Nie! Nie! I jeszcze raz nie! Krzyknął Tomasz: — W końcu dajcie mi już wszyscy spokój. Nie mam prawa!

— A jeśli to w rezultacie wyszło by na dobre?

To wydawało się takie proste: kiedy Panu Bogu ludzie są potrzebni, dlaczego nie można dać Pana Boga ludziom, wtedy kiedy jest tak bardzo potrzebny.

Jeanne skierowała się w stronę ołtarza.

— Weź — powiedziała — On jest tutaj!

Ale nie było już Hostii. Ksiądz Panneach zabrał je ze sobą upuszczając wyspę. Bez Hostii, bez Pana Boga, kościół nie jest już kościołem i Tomasz także rozumiał to do brzo. Po co więc dalej grać tę komedię? Po co wkładać dionie do chrzcielnicy, jeśli nie ma w niej wody święconej?

Tomasz postanowił pojechać i poszukać księdza w Lescoff. Trze-

boszcz odsunął je z ledwie hamowaną złością i wzburzony powiedział: Czy myślisz, że jego Eksceleńcja i ja nie wiemy, skąd pochodzą wasze złote monety? Przyciąga się biednego łodzie na skalisty brzeg, grabi się chrześcijan, zmusza się biednego proboszcza, by wyjechał zropaczony, a po tym wszystkim przyjeżdża się z piącem prosić o nowego. Nie, mój przyjacielu, dopóki wasza wyspa nie okaże rzetelnej poprawy, musi zostać opuszczona. A jeśli jej się kogoś przysię, to będzie misjonarz, tak jak dla dzikich ludów w Ameryce.

Tomasz stał osłupiały słysząc, że ksiądz powtarza zdanie ludzi z kontynentu, zdecydował się jednak odpowiedzieć:

— Jesteśmy dobrymi chrześcijanami, lepszymi od tych, którzy o nas źle mówią.

Wychodząc wskazał na naczynie z wodą, które przedtem zostawił z sabotami w przedpokoju i powiedział pokornie. Nie mamy, proszę księdza, nawet święconej wody...

Proboszcz wahał się chwilę, zanim odpowiedział: Nie, nie wiem co będziecie z nią robić.

Tomasz wyszedł w czasie wrastającej burzy. Roztrzaskał swoje naczynie z wodą o ścianę i wrócił na wyspę.

Po bardzo ciężkiej drodze, na progu swej plebanii, Tomasz spotkał Józefa Le Berre.

— Tomasz — zaczął le Berre — ja w sprawie mojej matki. Mam nowy pomysł.

— Dobrze, ale staraj się mówić prędko.

— Tak... i to właśnie nie jest łatwe. Brr... jak mogłeś wracać w taką pogodę?

—Więc o co ci chodzi — nalegał Tomasz. Był tak wyczerpany, że chciał jak najszybciej skończyć rozmowę.

— Posłuchaj Tomasz. Tak szkodliwego człowieka — czy jest w nim diabeł czy nie — należy związać. Tak będzie lepiej dla wszystkich i dla niej. Ty także tak uważasz, prawda?... Otóż ja chcę zniszczyć moją matkę.

— Chcesz ją zabić? — obruszył się Tomasz.

— To znaczy... dla jej dobra... rozumiesz? I po prostu tak, żeby ona nie wiedziała. Czy ty dasz mi rozgrzeszenie?

— Jeśli w tej chwili spowiadasz się mówiąc: „Chcę zabić moją matkę dlatego że jest szalona” — nie otrzymasz rozgrzeszenia, na pewno nie. Nie da ci go ksiądz. Musiałbyś obiecać, że nie będziesz nawet myślał o zrobieniu tego. Czy nie rozumiesz, że pytanie o to nie ma sensu?

— Powinieneś być przyjąć po tym — stwierdził Józef.

— Po czym?

— Po tym, Jeśliby to zrobić nie mógłbyś mnie zostawić w stanie grzechu śmiertelnego.

— O, to też nie jest pewne — odpowiedział Tomasz. W każdym wypadku uprzedzam cię Józefie, ryzykujesz wiele. Pan Bóg nie lubi zbrodniarzy. Wyobraź sobie, że Pan Bóg cię na miejscu porazi piorunem...

— Ale przypuścimy, że mnie nie porazi. Czy dałbyś mi wtedy rozgrzeszenie?

— Jeśli Pan Bóg... Więc być może — zastanawiał się Tomasz.

— Więc rozgrzesz mnie...

—Tomasz gwałtownie odwrócił się do Józefa, który uśmiechał się chytrze.

— Tyś to zrobił?

— I On mnie nie poraził... Daj mi rozgrzeszenie Tomasz.

— Nie!

— Ale ja żałuję tego, mówię ci, że żałuję. To było na morzu. Nie zrobiłem jej nic złego. Ona nawet nie wiedziała, że to ja. Daj mi Tomasz. Przecież mi obiecałeś!

— Niczego ci nie obiecałem. Powiedziałem „być może”. Tomasz zupełnie nie wiedział jak postąpiłby ksiądz w tym trudnym wypadku. Wreszcie zaproponował Józefowi, by został z nim na noc. Nie chciał go zostawić samego z tym grzechem obciążającym sumienie. Ale w nocy, właśnie Tomasz nie mógł usnąć. Przewracał się z boku na bok na swoim łóżku.

— I pomyśleć, że księża słyszą takie rzeczy i mogą później spać — mruzczał. A wtedy odezwał się Józef: Bo oni wymagają tylko tego, żeby się wyspowiadać.

— Cicho bądź. Ty zupełnie nie wiesz, co to znaczy być księdzem. Ja sam dopiero zaczynam to rozumieć.

Mimo burzy, silniejszej niż zwykle, Józef usnął bez większego trudu: przecież się wyspowiadał, czuł ulgę. Tomasz jednak przestał myśleć dopiero wtedy, kiedy w pokoju było już jasno od wschodzącego słońca.

Nocna burza wywołała wiele zniszczeń w kościele. Dach pękł szeroko. Tomasz patrzył na zniszczenie, myśląc jednak zupełnie o czym innym. Ciągłe męczył się sprawą Józefa. Jaką pokutę można dać człowiekowi, który zabił swoją matkę? Jaką pokutę dałby ksiądz? Oparty o ołtarz Tomasz targał głowę ręką. W pewnej chwili zwrócił jego uwagę rytmiczny dźwięk. Odwrócił się. Oto przez pęknięcie w dachu, kropla po kropli, ściekała woda do kropielnicy. Tomasz podszedł bliżej. Pusta dotąd kropielnica wypełniła się wodą, która spadła z nieba. Dostrzegł w tym znak woli Pana Boga. I w tym samym momencie znalazł pokutę, na którą zasłużył Józef: naprawi kościół.

Józef zabrał się do roboty tego samego dnia. Niebawem inni mieszkańcy przyszli mu z pomocą. Gdy Franciszek wracał z połowu, o mało nie dostał w głowę jedną z dachówek, które układał Józef.

— Uważaj! — krzyknął. — Czy chcesz mnie zabić? Mnie także?

Józef szybko zaczął zsuwać się z dachu kościoła, by go schwytać za gardło, ale Tomasz stanął między nimi.

## BOGU POTRZEBNI

Dokończenie z numeru

— Mówisz zupełnie jak ludzie z łądu — powiedział do Franciszka. — Między nami nie ma bandytów. Czy ktokolwiek z nas jest zdolny do zabicia swojej matki? Wszyscy wiedzą, że Anais Le Berre była szalona. Jeśli wypadła z łodzi, to przecież był tylko wypadek.

Czuł, że tłum, który tymczasem zgromadził się wokół nich, zgadzał się z nim. Jedna z kobiet zbliżyła się i zaproponowała, by odmówić modlitwy za Anais.

— Tak, dobrze by było odmówić modlitwy — zgodził się Tomasz.

— Tylko to nie wystarczy... — Zawahał się i powiedział, jakby zwierzając się: — Tu, żeby było zupełnie dobrze, potrzebna byłaby Msza. Jeśli zgodzicie się, kiedy dach zostanie naprawiony... odprawię... ja sam... mszę.

Wszyscy zgodzili się.

Skądinąd byli przekonani, że Tomasz mógłby wcześniej pomyśleć o tym, by odprawić Mszę. Jeanne sporządziła hostie z gorączkowym pośpiechem. Mówiła:

— Więcej niż sto hostii potrzeba będzie dla wszystkich, którzy przystąpią do Komunii św.

Czuła się tak, jakby była bliżej Pana Boga. Prócz tego była bratową proboszcza. A to dodawało jej na wyspie znaczenia, które dla kobiet, a i dla mężczyzn, jest tak istotne.

Sporządzone hostie położyła na tacy i przykrywszy płótnem, opuściła plebanie, tak, jakby niosła Pana Boga, nie odwracając głowy mimo spojrzeń wszystkich mieszkańców, którzy zgromadzili się na drodze. Wchodząc do kościoła pokazała dużą hostię, którą zrobiła dla niego. Hostię księdza. I wtedy Tomasz zaczął się wahać. Czy powinien? Nie miał prawa. Ale jeśli ciągle nie ma księdza?...

Scholastyka towarzyszyła Jeanne z coraz większą zazdrością. Tak bardzo nienawidziła tej, jak to nazywała, „komedii kapłaństwa”, nienawidziła tak jak się zwykle nienawidzić rywalki.

— Jeśliby wiedziano o tym na łądzie — powiedziała Tomaszowi, chcąc go odzyskać — mógłbyś pójść do więzienia. Franciszek mi to powiedział.

— Wiesz, zanim by przyszli mnie zabrać...

— Tobie to jest wszystko jedno, że on pójdzie do więzienia — zarzuciła Scholastyka Jeanne. — Ty chcesz tylko jednego — twojej Komunii.

— A ty chcesz tylko wyjść za mąż za niego.

Tomasz powtórzył sobie tekst całej mszy, kiedy mu doniesiono, że zbliża się statek od strony łądu. Mieszkańcy rzucili się do przysiania. Dostrzegli na pokładzie żandarmów. Otóż to właśnie, takimi dobrodziejstwami obdarzał ich cywilizowany świat. Nikt z wyspiarzy nie odpowiedział marynarzowi, proszącemu o złapanie liny, którą miał wyrzucić na brzeg. Gdy żandarmi zaczęli jeden po drugim wsiadać, wszyscy w milczeniu patrzyli, w niemym bezruchu, groźniejszym chyba niż inne, żywsze objawy wrogości. W pewnym momencie milczenie zostało przerwane olbrzymim wybuchem śmiechu, kiedy jeden z żandarmów pośliznął się i upadł, a drugi wysiadł z widocznymi objawami morskiej choroby. Na końcu ukazał się ksiądz Kerherve.

Proboszcz! Ksiądz, który otoczył się uzbrojonymi w karabiny ludźmi!

Wszyscy zawzięcie milczeli, gdy zapytał się o drogę na plebanie. Wreszcie, Jeanne z dzieckiem na

rękę przyklekła przed księdzem, jednak poczuwszy w tej samej chwili rękę matki Tomasza na plecach, nie odezwała się także ani słowa.

Dopiero po chwili oczekiwania, pełnego napięcia z obu stron, zjawił się Tomasz, uprzedzony o przyjeździe statku i zobaczywszy księdza, wziął walizkę i zaproponował odprowadzenie na plebanie.

— Wtedy — powiedział w drodze — kilka dni temu, kiedy przysięm księdza o przyjazd, nie przypuszczałem, że przyjadą tu z księdzem żandarmi. W Sein proboszcz nie potrzebuje żandarmów. Religia jest bardzo szanowana. Dziesięciu żandarmów... Ksiądz wie, że gdybyśmy się tak zbrali, nie daliby nam rady...

Gdy Tomasz z księdzem wszedł na plebanie, towarzyszący im tłum zatrzymał się przed progami. Żandarmi mieli bardzo niepewne miny w środku tych, jak myśleli, „dzikusów”. Ale wyspiarze nie troszczyli się o nich. Czekali na Tomasza. On tymczasem pakował swoje rzeczy do torby.

— Jesteś dumny, że ci wszyscy ludzie czekają na ciebie — powiedział ksiądz. — W głębi duszy jesteś pyszny!

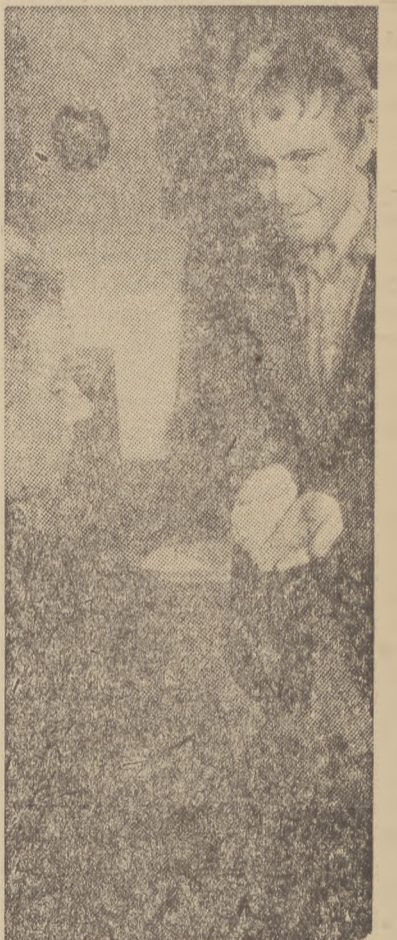
— Być może...

— Właśnie pycha zgubiła szatana!

— Szatana? Było, nie było, nie jestem szatanem. — Tomasz nabrał jakiejś pewności siebie.

— A czy wydaje ci się, że jesteś kapłanem?

— Kapłana nie było. Oni go potrzebowali. Robię to, co mogłem.



— I przemawiałeś z ambony?

— Tak.

— Nie miałeś prawa. A odmawiałeś różaniec?

— Co wieczora.

— I... bez kobiet?

— Tak księżu proboszczu. Bez kobiet.

— Dobrze. — Ksiądz podszedł do okna i z niepokojem przypatrywał się tłumowi. — Czy oni długo będą tam stali? Czego chcą?

— Czekają na mnie.

— Uważasz się za osobistość?

— Ja... nie! To... oni...



Opracowała Halina LASKOWSKA

## SĄ LUDZIE

poprzedniego

— Odprawiałeś Mszę?  
— Mszę miałem odprawić.  
Ksiądz spojrzął na niego więcej zdumiony, niż oburzony.  
— Czy nie wiesz, że to świętokradstwo?!  
— Przecież naprawdę nie zrobiłem tego. Pan Bóg mnie od tego uchronił. To, że ksiądz przyjechał dziesiąt dowodzi, że Bóg nie chciał od tego zła dopuścić.  
Wobec spokoju Tomasza i milczącej obecności tłumu za oknem, gniew księdza wznosił się.  
— A cóż ty im powiesz wychodząc? — wyraźnie opanowywał wzburzenie, mówiąc te słowa.  
— To, co ksiądz zechce.  
— Przede wszystkim, żeby sobie poszli.  
— Niech się ksiądz nie boi. — Tomasz nie był już tym pokornym człowiekiem, który bosko wchodził do pokoju księdza, wtedy na łądzie...  
— Ja się nie boję!  
— Nie mówię, że ksiądz się boi, mówię tylko, żeby ksiądz się nie bał, oni jeśli ja im powiem, wrócą do swoich domów.  
— Czy zawsze ciebie słuchają?  
— Tak... słuchają. Czy mam im zapowiedzieć Mszę na jutro?  
— Dobrze. O dziewiętej. Czy przyjdą?  
— Naturalnie. Wszyscy. I ksiądz będzie udzielał Komunii św.  
Jeśli się wypowiedzą...  
— Oni by się wypowiedzieli... ale ci żandarmi...  
— Jakto żandarmi? — ze zdumieniem zapytał proboszcz.  
— Tak czy owak, jest się bardziej skłonny do spowiedzi, jeśli żandarmi nie stoją nad karkiem.  
— I ty się uważasz za dobrego katolika! Czy nie wiesz, że ksiądz obowiązuje tajemnicę spowiedzi?  
— Ależ wiem! Ale oni!... Wie ksiądz, księże proboszczu, ich trzeba rozumieć!  
— Widzę, że robiliście sobie kłiny z religii. Jest tu wiele pracy dla kapłana.  
— Ależ tak! — zgodził się skwapliwie Tomasz.  
— A skądże pochodzą hostie?  
— Zrobiłem je.  
— Nieszczęsny! — ksiądz krzyczał prawie. — Wiesz dobrze, że mogłeś zrobić tylko kawałki chleba. A przed czym zapalona lampa? To pięknie!... I ty kazałeś im wierzyć, że to święcona woda?.. A teraz słuchaj uważnie — ksiądz wziął Tomaszowe hostie i rzucił je na ziemię. — Nie jestem złym człowiekiem. Wierzę ci, przysięgnij mi, że odmówisz — i to zdecydowanie — spełniania czynności kapłańskich.  
— Przysięgam.  
— I powiedz, że to, co robiłeś tutaj, nie miało żadnej wartości. Ze wszystko trzeba zacząć na nowo. Oni cię umieścili w kościele. Wsadzili cię. Ale z równym powodzeniem mogliby tu umieścić kornorana. Byłoby to samo.  
Tomasz stał z podniesioną spokojną twarzą.  
— Ciężko tego słuchać, księże proboszczu. Ale ja naturalnie wierzę księdzu.  
— Mam nadzieję. Więc masz im powiedzieć, ponieważ oni cię tak słuchają, że podporządkowałeś mi się zupełnie.  
— Dobrze, księże proboszczu...  
— Zobaczę jutro, czy kościół będzie pełny.  
Opuszczając kościół Tomasz czuł się trochę szczęśliwy, a trochę smutny, że stał się znowu zwykłym człowiekiem.

Wieczorem na wyspie atmosfera była bardzo ciężka. Nawet w jedynej wyspiarskiej knajpie. Wszyscy zaczęli wierzyć w to, że można po prostu zwyczajnie porczumiewać się z Panem Bogiem, a ten ksiądz z kontynentu, ze swymi żandarmami, przeszkodził temu. Przy bufecie Józef pił z niebywałą zajadłością kieliszek po kieliszku. W końcu wybuchnął:

— Dobrze! Ale ja nie pójdę na tę ich Mszę! I nie będę się spowiadał przed człowiekiem z Lescoff. A Tomasz jest zdrajcą. Nie chce teraz dla nas palcem kiwnąć! A przecież oblecał, Józefie — mówił — odprawię Mszę za twoją matkę. Czy ona może potrzebować Mszy odprawionej przez przybysza z Lescoff? Biedna staruszka! Przecież nawet nie wiadomo czy to ksiądz, czy żandarm!

Na drogach wyspy żandarmi pytali wszystkich spotkanych o jakiś dom, w którym mogliby zanoćcować. Nikt im nie odpowiadał. Józef, pijany wyszedłszy z knajpy, najpierw zdumiał się i przestraszył widząc tych umundurowanych ludzi tak blisko. Szybko poszedł do domu i zamknął dokładnie drzwi. W izbie zobaczył siedzącego na taborecie przy kominku nieruchomego Tomasza.

— Czy masz dla mnie jakieś wiadomości? — zapytał wyczekująco.

— Nie. Ale myślę, że raczej oni po mnie tu przyszli — odpowiedział Tomasz.

— O ty — to nie groźne. Zresztą nie żałuję cię wcale. Ale rozumiem, że ze strachu każeś nam słuchać innego księdza.

— Nie, Józefie. To dlatego, że on jest księdzem. Trzeba go słuchać. Ja sam mu się podporządkowałem.

— A cóż on wie o naszych sprawach? Jeśli zaczął być księdzem, bądź nim dalej. Wszyscy są za tobą. Jeśli powiesz słowo, za kwadrans nie będzie tu księdza, ani żandarmów. Nigdy nikt z takim zadowoleniem nie chodził do kościoła jak przy tobie. Jesteś podobny do nas, o to chodzi.

— To, co mówisz, jest dla mnie bardzo przyjemne — przyznał Tomasz.

— Więc dajesz mi rozgrzeszenie. Kiedy Tomasz odmówił, Józef wrzasnął na niego z taką wściekłością, jak przed tym z łagodnością prosił.

— Więc wynos się!

Jednak zatrzymał jeszcze Tomasza, który wolno skierował się ku drzwiom.

— Wiem, że niczego nie opowiesz żandarmom, ale mimo to nie powinienem być ci opowiadać wszystkiego. Nie jesteś uczelwy, Tomasz. Ja powiedziałem ci wszystko, nic wzamian nie otrzymując. I zresztą odbyłem pokutę. Mam prawo do rozgrzeszenia. Daj mi je, albo rozbiję ci mordę.

— Ale ponieważ Tomasz mimo to wychodził, rzucił w niego butelką, która roztraskała się o drzwi. W chwilę po tym do drzwi zbliżył się jeden z żandarmów, który szukał domu Józefa, by się tam ulokować na noc. Józef, który go dojrzał przez okno, nie odpowiadał na coraz to gwałtowniejsze dobijanie się do drzwi. Przed domem powoli zaczął się zbierać tłum, wreszcie ktoś rzucił kamieniem obok głowy żandarma. Ten przestraszony wystrzelił w powietrze, wzywając w ten sposób kolegów. Sierżant, pragnąc ocalić powagę władzy, kazał wyważyć drzwi i wejść do domu Józefa. Rozkaz został wykonany

Tomasz wszedł jako jeden z pierwszych. Ale na parterze nie było nawet śladu Józefa. Prędko wdrapał się na poddasze i ujrzał Józefa wiszącego na grubej linie. Skoczył, przeciął powróż i pochylony nad trupem wyszeptał jakimś głęboko ludzkim głosem: „Te absolvo...“ Słowom rozgrzeszenia towarzyszył znak krzyża, który miał zmasać grzechy tego człowieka, który przecież nie był zły...

— Powieś się — powiedział schodząc do zebranych.

— Dlaczego? — zapytał jeden z żandarmów.

— Bał się.  
— Wiadomo, co to znaczy, kiedy ktoś się boi żandarmów.  
— On nie zrobił nic złego — przerwał Franciszek. Ale Tomasz, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich przerwał mówiąc:  
— Nie trzeba kłamać. Le Berre zabił swoją matkę. Ale trzeba wam wiedzieć, sierżancie, że ona była szalona.

Zrozumieł, kiedy zaczął mówić dalej:

— Barka z Nantes — to także on. I złoto! I ten żandarm, który został zabity zeszłego roku. I ta świnią skradzioną w Plogoff... to wszystko można powiedzieć, że to on.

Wszyscy mieszkańcy wyspy przytaknęli. Józef nie żył, niczym już nie ryzykował, oddając im tę przysługę.

— I on zrobił to wszystko? — dziwił się sierżant.

— I jak widzieli — dodał Tomasz — ukarał się sam. Bóg przeszedł tędy przed wami. Niczego więcej na wyspie nie wyszperacie.

Następnie Tomasz poszedł na plebanie, by uzyskać od księdza Kerherve chrześcijański pogrzeb dla Józefa. Ksiądz jednak odmówił.

— On nie był zły! — zawołał Tomasz.

— Samobójstwo jest większą zbrodnią niż oplwanie krzyża!

— Ale on nie był zły! Został ochrzczony przez księdza. Ma prawo być pochowany przez księdza.

— Ja go nie pochowam.

Po raz pierwszy mieszkańiec wyspy ma być chowany jak pies.

— Będzie pochowany jak pies, którym był!

Ci dwaj bretończycy. Jeden z łądu, drugi z wyspy, trwając w niezłomnym uporze, stali przed sobą jak dwaj przeciwnicy w czasie walki. Tomasz opuścił plebanie czując, że decyzja księdza była niezłomna. Kiedy wrócił do domu Józefa, Franciszek powiedział mu, że żandarmi już strzegą cmentarza.

— Józef będzie pochowany — zapewnił Tomasz.

Józef leżał na dużym stole, paliły się świece. Wszyscy mieszkańcy zebrałi się obok domu. Stojąc przy zmarłym, Franciszek wyciągnął rękę do Tomasza.

— Tomasz — powiedział — nie

zawsze byliśmy w zgodzie. Ale teraz rozkazuj. Posłucham. Wystarczy wody wokół wyspy na więcej niż dziesięciu żandarmów!

— Przyjdzie ich stu — odpowiedział Tomasz. — Trzeba wymyśleć coś innego.

Kazali odejść kobietom, zaczęły się bowiem ważne sprawy, sprawy męskie. Zaledwie znikła ostatnia kobieta w domu Józefa rozległ się donośny śmiech. Wspólny śmiech wszystkich mężczyzn wyspy, ku oburzeniu zgorszonych żandarmów.

Nazajutrz stara Karabassen dzwoniła zwołując na Mszę, a ksiądz czekał w swoim pustym kościele. Miał właśnie wyjść, kiedy zjawiła się Jeanne. Chciała wstawić się za ludźmi wyspy, ale



## NOTKI KULTURALNE

W ostatnich dniach września r. b. w Paryżu w Sorbonie odbył się 14 Kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia Chirurgów. Udział wzięło 2.250 chirurgów reprezentujących 45 państw.

Zgodnie z testamentem Edmunda Goncourt „Dziennik“ i rękopisy Goncourtów miały być opublikowane w 20 lat po jego śmierci. Opinia francuska oczekuje na to od 1910 r., ale niestety sprawa publikacji tych materiałów jeszcze rok temu prawie przesądzona została przez Ministerstwo Oświaty. Zatrzymano ją bowiem do 31 grudnia 1961 roku.

Znany pisarz węgierski D. Hlesz zakończył pracę nad scenariuszem do filmu o rewolucji 1848 r. na Węgrzech. Głównymi postaciami tego filmu będą sławny poeta Szandor Petöfi oraz generał Józef Bem.

We Francji ukazała się druga antologia p. t. „La belle jeune femme“. Jest to wybór utworów najmłodszego pokolenia poetyckiego Francji, bo tych którzy w 1951 r. kończą lat 20. Antologia ukazała się w opracowaniu Elzy Triolet.

Według danych statystycznych w Indiach do drugiej wojny światowej było wśród ludności wyznania mahometańskiego 94 proc. analfabetów, 92 proc. wśród brahminów oraz 72 proc. wśród chrześcijan.

Katolicy posiadają obecnie w Indiach 6.600 szkół niższych, 300 średnich. Do szkół tych uczęszcza około 700 tysięcy młodzieży. Poza tym katolicy posiadają 44 bursy studenckie, w których znajduje się pomieszczenie około 22 tysiące studium młodzieży. Liczby te mogłyby wydawać się duże, jednak w stosunku do potrzeb tego kraju stają się zupełnie znikomymi.

W Meksyku 9 milionów mieszkańców to analfabeci. Na 5 milionów dzieci w wieku szkolnym, do szkół uczęszcza tylko 2 miliony.

Latem r. b. związek kompozytorów ZSRR wydelegował szereg ekspedycji, które zwiedziły okregi: Archangielski, Woroneżski, Kałużski, Nowosybirski oraz kraj Krasnodarski, Maryjską autonomijną republikę i Altaj. Celem podróży tych ekspedycji było zebranie starych i współczesnych pieśni ludowych. Zebrano powyżej 500 ludowych pieśni, wśród nich wyróżniają się pieśni z kraju Krasnodarskiego, Sybiru i okręgu Archangielskiego.

Nakładem wydawnictwa Andre Bonne w Paryżu ukazała się praca Marii Brandon-Albini — La culture italienne (Dix siecles de Civilisation).

Między Polską i Francją został podpisany układ handlowy na mocy którego ustalono wymianę filmów między obu krajami na następujących warunkach: import na 20 milionów fr. fr., eksport do Francji na 10 milionów fr. fr.

Francuskie czasopismo „Science“ podało do wiadomości, że zostało odkryte t. zw. „elektryczne oko“ t. j. aparat pozwalający na natychmiastowe rozpoznanie komórek objętych chorobą raka w pierwszym jego stadium. Wiadomość ta nie ma narazie całkowitego potwierdzenia.

Austriacki uczony prof. Feliks Mandl podał do publicznej wiadomości, że odkrył nowy sposób leczenia reumatyzmu stawowego za pomocą przeszczepiania gruźlicy łazyczkowej.

Znany pisarz węgierski D. Hlesz zakończył pracę nad scenariuszem do filmu o rewolucji 1848 r. na Węgrzech. Głównymi postaciami tego filmu będą sławny poeta Szandor Petöfi oraz generał Józef Bem.

W październiku r. b. odbędzie się w Moskwie wystawa wytkorów zdobniczej sztuki ludowej powstałych w latach 1948 — 1951.

Michał JAWOR

# DWA DOKUMENTY POLITYKI WEISSBUCH DEMOKRATYCZNYCH NIEMIEC

CBER

DIE AMERIKANISCH-ENGLISCHE

INTERVENTIONSPOLITIK

IN WESTDEUTSCHLAND

UND DAS WIEDERERSTEHEN

DES DEUTSCHEN IMPERIALISMUS

**P**OLITYKA Niemieckiej Republiki Demokratycznej rozwija się w warunkach szczególnych — rzecz można nawet, bezprzykładnych. Rząd Republiki prowadzi własną politykę, jednocześnie przeciwstawia się polityce zgola odrębnej, jaką prowadzi pod batutą trzech Wysokich Komisarzy mocarstw zachodnich, drugi „rząd” niemiecki — nacjonalistyczny zespół kanclerza Adenauera.

W tych warunkach — w warunkach walki o własny kraj z tą częścią rodaków, którzy poszli w służbę „idealów” wojny, grabieży i zaboru — każdy krok polityki demokratycznych Niemiec musi być szczególnie przemyślany.

Politykę N.R.D. celuje jasność i konsekwencja linii. Przejawem jej są przede wszystkim niedwuznaczne, wyraźne wypowiedzi na zasadnicze tematy polityczne — przejawem jej jest także stosowanie dokumentu jako środka wykazywania prawdy. Jest to środek najlepszy i najpewniejszy, bo nie podlegający dyskusji. Prasa N.R.D. w szerokim stopniu stosuje metodę podawania własnych wypowiedzi rozmaitych działaczy zachodnio-niemieckich, publikowania zdjęć fotograficznych i szczegółowych danych.

Jednym z najważniejszych posunięć tego rodzaju — na poziomie już nie jednorazowej publikacji prasowej, ale aktu międzynarodowego — było ogłoszenie w połowie sierpnia „Białej Księgi o amerykańsko-angielskiej polityce interwencji w Niemczech Zachodnich i o odrodzeniu imperializmu niemieckiego”. „Biała Księga” stanowi zbiór faktów i dokumentów, ilustrujących przebieg wydarzeń politycznych na terenie Niemiec na przestrzeni ostatnich lat.

Niezależnie od przekazania Księgi prasie i opublikowania we własnych organach prasowych szczegółowych streszczeń i obszernych wyciągów, Biała Księga przesłana została rządowi i parlamentom wszystkich narodów. Wstęp do tej doniosłej publikacji brzmi:

„Rada Narodowa Frontu Narodowego Demokratycznych Niemiec przekazuje narodowi niemieckiemu i wszystkim milującym pokój narodom ten oto zbiór dokumentów ponieważ rządy Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji zamierzają jesienią tego roku nakazać odbudowanie niemieckich sił zbrojnych. Zachodnio-niemiecki separatystyczny rząd rozpoczął już przygotowania organizacyjne polityczne i gospodarcze do stworzenia nowego niemieckiego Wehrmachtu.

Fakty zawarte w tej oto Białej Księdze dowodzą, że w Niemczech Zachodnich nie powstają jakieś zwykłe formacje policyjne lecz że odradzający się niemiecki imperializm tworzy sobie

nową armię napastniczą, która pod wodzą Stanów Zjednoczonych ma mu posłużyć do zdobycia sobie naczelnego stanowiska w Europie. Pod pretekstem „zjednoczenia Europy”, imperializm niemiecki dąży do ustanowienia swojego władztwa nad państwami planu Marshalla w Europie a zarazem do przygotowania napaści na Związek Radziecki, na państwa demokracji ludowej i na Niemiecką Republikę Demokratyczną.

Biała Księga dostarcza dowodów na to, że właśnie zachodnie mocarstwa okupujące i ich interwencyjne oddziały wojskowe w Niemczech Zachodnich przyczyniają się do odrodzenia imperializmu niemieckiego. Dzieje się to w sprzeczności z układami poczdamskimi i wbrew woli większości ludności niemieckiej, która nie chce składać na ofiarę ani siebie ani swojego kraju rodzinnego zaborczym celom kapitału monopolistycznego amerykańskiego i niemieckiego.

Rada Narodowa zwraca się do wszystkich ludzi pragnących pokoju, w szczególności do wszystkich członków parlamentów i do funkcjonariuszy wszelkich demokratycznych stowarzyszeń i organizacji, aby pomni swej do nosiej odpowiedzialności starali się sprawić, by narody dostrzegły wielkie niebezpieczeństwo, jakie grozi im skutkiem odrodzenia imperializmu niemieckiego pod kierunkiem amerykańskich bankierów i właścicieli koncernów.

**M**ATERIAL zawarty w Księdze podzielono na sześć rozdziałów o następujących tytułach:

Rozdział I: „Rozbicia Niemiec dokonano dla przygotowania wojny”.

Rozdział II: „Żadny wojny imperializm niemiecki — główny sprzymierzeniec imperializmu amerykańskiego”.

Rozdział III: „Potencjał gospodarczy i gospodarka wojenna Niemiec Zachodnich”.

Rozdział IV: „Bonnskie państwo stref zachodnich — made in USA”.

Rozdział V: „Niemcy Zachodnie jako teren rekrutacji, poligon ćwiczebny i pozycja wyjściowa amerykańskiej wojny”.

Rozdział VI: „Naród niemiecki walczy o swoją jedność narodową i przeciwstawia się wojnie”.

Na początku rozdziału I. znajdujemy zestawienie cyfr „z konta imperialistów niemieckich”. Według tych cyfr w pierwszej wojnie światowej utraciło życie osiem milionów siedemset trzydzieści dwa tysiące ludzi, z tego w Niemczech — 1.808 tysięcy. Koszty wojny wynosiły wówczas, według źródeł amerykańskich, 337,9 miliarda dolarów; wartość zniszczeń wojennych dobiegła trzydziestu siedmiu miliardów.

Ale te przerażające liczby nikną wobec cyfr dotyczących drugiej wojny światowej, których nikt dotąd jeszcze nie ogłosił w pełnym zestawieniu, uznany przez wszystkich. Biała Księga usiłuje dokonać przybliżonego zestawienia na podstawie różnych komunikatów oficjalnych i półoficjalnych. Ogólna liczba ofiar drugiej wojny światowej wynosiła w przybliżeniu dwa dziesiąta siedem milionów ludzi. Dwie trzecie tej liczby, wobec której wszelkie komentarze są bezsilne (spróbujmy pomnożyć mękę konania, lęk przed śmiercią, zmarnowane możliwości życiowe i cierpienia bliskich przez liczbę 27 milionów!) stanowią straty Związku Radzieckiego, Polski i Niemiec: 7, 6 i 5,5 miliona.

Ogólne koszty i straty drugiej wojny światowej — oprócz Chin! — osiągnęły znowu wedle obliczeń amerykańskich astronomiczną cyfrę 1350 miliardów dolarów.

Biała Księga, zainteresowana przede wszystkim w ukazaniu narodowi niemieckiemu, do czego doprowadziły go

zapedy zaborcze jego władców, podkreśla, że cztery piąte strat niemieckich nastąpiło w związku z najazdem hitlerowskich Niemiec na Związek Radziecki. Ze strat niemieckich 3,3 miliona przypadła na poległych w walce, pół miliona — na zidentyfikowane ofiary nalołów bombowych, około dwustu tysięcy ludzi wymordowali sami hitlerowcy. Pożostałe półtora miliona, to ludzie zaginieni bez wieści podczas ewakuacji cywilnej, nakazanej przez władze hitlerowskie (winowajcy jednej z takich ewakuacji ze Zgorzelca nad Nysą skazani zostali przed paru laty na śmierć przez sąd niemiecki).

Określając następnie uchwały poczdamskie jako „umowę, która ma zabezpieczyć pokój” Biała Księga charakteryzuje postanowienia tej umowy i wskazuje, że już na konferencji w Teheranie w grudniu 1943 r. i później w czasie rokowań moskiewskich, mocarstwa zachodnie chciały wymóc postanowienie, że Niemcy będą rozczłonkowane. Związek Radziecki stał jednak na stanowisku gospodarczej i politycznej jedności Niemiec i przeprowadził ten swój punkt widzenia w umowie poczdamskiej.

Biała Księga wskazuje, że tylko Związek Radziecki przystąpił do konsekwentnej realizacji umowy poczdamskiej, która ze strony mocarstw zachodnich była systematycznie sabotowana.

Księga zawiera szczegółową charakterystykę metod i taktyki mocarstw zachodnich, które za główne zadanie postawiły sobie sparaliżowanie działalności czteromocarstwowych organów kontrolnych w Niemczech. Dyrigowali tą polityką Amerykanie, powołując się jednak często — nawet w swoich wewnętrznych, oficjalnych raportach na temat spraw okupacji Niemiec — na opór partnera brytyjskiego lub francuskiego. Francuzi zakładali szczególnie często veto przeciw uchwałom Rady Kontroli, zwłaszcza tym, które zmierzały do urzeczywistnienia jedności Niemiec.

Już w końcu 1946 roku nastąpiło zawarcie między mocarstwami anglosaskimi porozumienie w sprawie połączenia ich stref okupacyjnych. Z tą chwilą stawało się jasne, że polityka ich zmierzająca do utworzenia separatystycznego „ich własnego” państwa niemieckiego.

Opanowanie Niemiec Zachodnich przez mocarstwa anglosaskie, w pierwszym rzędzie przez Amerykanów, ma charakter nie tylko polityczny i wojskowy, ale i ekonomiczny. Znajduje to wyraz w zadłużeniu Niemiec Zachodnich, na który to temat Biała Księga podaje nader interesujące cyfry. Ogólnie na Niemczech Zachodnich ciąży obecnie ok. 35 miliardów marek niemieckich długów; bez mała trzydzieści miliardów z tej ogromnej sumy, to wierzytelności amerykańskie. Połowa ich, to nowe, powojenne zobowiązania; druga połowa, to stare długi Rzeszy przedhitlerowskiej i hitlerowskiej, uznane bez zastrzeżeń przez rząd Adenauera.

Dość do tego należy sięgające półtora miliarda marek udziały amerykańskie w przemyśle niemieckim. Kapitał amerykański opanował przede wszystkim zachodnio-niemiecki przemysł nalołowy, a także przemysł elektrotechniczny i samochodowy. Te zainteresowania gwałtownie gospodarki zachodnio-niemieckiej odbijają się na całym życiu gospodarczym Niemiec Zachodnich, w szczególności na handlu zagranicznym państwa bonnskiego.

Biała Księga poświęca wiele miejsca charakterystyce sił, jakie dziś pod egidą amerykańską rządzą Zachodnimi Niemcami. Są to w pierwszym rzędzie „najniebezpieczniejsze zachodnio-niemieckie trusty podległe wojennych”, z Kruppem, Thyssenem i Mannesmannami na pierwszym miejscu. Obok nich

niezłamana pozostaje potęga najniebezpieczniejszej i najbardziej drapieżnej części niemieckiego kapitału — wielkiej finansjery, której przedstawicielami są banki zachodnio-niemieckie.

Obszernie charakteryzuje także Biała Księga dokonujące się przemiany w gospodarce zachodnio-niemieckiej, które wszystkie zmierzają do jednego celu — przedstawienia na gospodarkę i produkcję o charakterze wojennym. W tym celu prowadzi się przede wszystkim do możliwie jak największego skupienia wpływów gospodarczych w rękach rządu.

Także i wywóz ulega takiemu przedstawieniu — eksportuje się niemal wyłącznie wyroby o antypokojowym charakterze.

„Obrzymie koszty, powodowane już dzisiaj przez wszystkie posunięcia remlitaryzacyjne — czytamy dosłownie w Białej Księdze — spadają całkowicie i wyłącznie na barki ludności pracującej Zachodnich Niemiec. Ciężar ten zwłaszcza na masę pracującą drogą niustannego spadku płac realnych i zaostrzającego się wciąż wyzysku sił roboczych. W miarę coraz dalej posuwającego się przestawiania na wojnę, dochodzą do tego dotkliwie braki wielu towarów i poważne pogorszenie jakości artykułów codziennego użytku”.

Rozdział IV. Zajmuje się charakterystyką genety i teraźniejszości państwa bonnskiego, którego początkiem było owo gospodarcze połączenie stref anglosaskich Niemiec. Celem jego istnienia jest — jak podkreśla Biała Księga — wywołanie wojny. Narzuca to całemu temu tworowi państwowemu z góry piętno reakcyjno-militaryzyczne o ile ten drugi rys dopiero stopniowo może się przejawiać, gdyż remlitaryzacji przeczy się wciąż jeszcze uporczywie, przynajmniej w najbardziej oficjalnych wypowiedziach, o tyle pierwszy jest zupełnie jawny i wyraźny. Państwo bonnskie stanowi coraz to jaskrawszy przykład rządów policyjnych. Jednocześnie jednak i militarizm występuje na coraz szerszą arenę w postaci „związków byłych żołnierzy” i oficerów i innych organizacji o obliczu zdecydowanie faszystowskim.

Jednocześnie pod rozmaitymi przykrywkami zaczyna rozwijać szeroką działalność główna ostoja prusko-niemieckiego militarystyki od dziesiątków lat — sztab generalny.

**N**A konferencji prasowej, urzędzonej po przekazaniu dziennikarzom tekstu Białej Księgi, liczni przedstawiciele prasy zadawali pytania premierowi i wicepremierowi Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jak oświadczył wicepremier Walter Ulbricht, Niemiecka Republika Demokratyczna odpowie na remlitaryzację Niemiec Zachodnich, „wytężeniem wszystkich sił, aby wzmocnić ruch pokojowy. Wiemy bowiem, że żaden Eisenhower i żaden Adenauer nie mogą prowadzić wojny bez zachodnio-niemieckiej młodzieży i bez ludności pracującej, my zaś właśnie pozyskamy ludność pracującą. Przez to uniemożliwimy amerykańską wojnę”.

Drugim dokumentem polityki rządu demokratycznego Niemiec w ostatnich miesiącach jest deklaracja rządowa, ogłoszona przez ministra spraw zagranicznych N.R.D. Dertingera w sprawie tzw. „zakończenia stanu wojennego z Niemcami”. W dniu 9 lipca r. b. mocarstwa zachodnie zawiadomiły mianowicie rząd Adenauera za pośrednictwem swoich Wysokich Komisarzy, że uważają stan wojenny między nimi i Niemcami „za zakończony. Szereg innych państw przyłączył się do tego oświadczenia.

Rząd Niemieckiej Republiki Demokratycznej zajął już wcześniej jasne stanowisko wobec tego posunięcia, które nie było niespodzianką, lecz zapowiadane było i omawiane od dłuższego czasu w prasie i wypowiedziach rzeczników

mocarstw zachodnich. Rząd N.R.D. reprezentował od początku swego istnienia i reprezentuje nadal postulat *traktatu pokojowego z Niemcami i wycofania wojsk okupacyjnych*. Pozorny pokój, wywołany omówionym posunięciem rządów mocarstw zachodnich, nie ma dla rządu demokratycznych Niemiec żadnej wartości, zwłaszcza, iż kryją się za nim zgola szczególne cele.

„Rzeczywisty sens tego oświadczenia — czytamy w deklaracji ministra Dertingera — kryje się w tym, żeby usunąć ostatnie formalne przeszkody stojące na drodze do przyspieszonego wciągnięcia Niemiec w agresywny system paktu północno-atlantyckiego i przemiany ich na bazę zbrojeniową i wyprowadzą dla planowanej wojny przeciw Związkowi Radzieckiemu, krajom demokracji ludowej i Niemieckiej Republice Demokratycznej — szybciej, niż to się działo dotychczas”.

**W**SZESĆ LAT po zakończeniu drugiej wojny światowej, naród niemiecki domaga się rzeczywistego zakończenia stanu wojny przez zawarcie traktatu pokojowego z Niemcami.

Oszustwo rządów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji wobec narodu niemieckiego odsłania sam prezydent Stanów Zjednoczonych Truman w swoim piśmie do Kongresu.

Pisze on tam dosłownie: „Zakończenie stanu wojny z Niemcami nie narusza w niczym stanu okupacji. Prawa mocarstw okupujących wywodzą się ze zdobycia Niemiec i przez zakończenie stanu wojennego nie rezygnujemy z tych praw”.

Z oświadczeń mocarstw zachodnich z tego pisma Trumana wynikają wyraźnie następujące fakty:

1. Mocarstwa zachodnie odmawiają narodowi niemieckiemu w dalszym ciągu należnego mu traktatu pokojowego.

2. Mocarstwa zachodnie utrzymują bez zmian swój reżim okupacyjny i chcą utrwalić na wieki stan okupacji Niemiec. Pozostaje w mocy art. 3 statutu okupacyjnego, który wyraźnie ustala pełną nieograniczoną władzę mocarstw okupacyjnych.

3. Rozbicie Niemiec ma być utrzymane nadal, ponieważ stworzenie jednolitych, niepodległych, demokratycznych i milujących pokój Niemiec oznaczałoby pokój w Europie i tym samym byłoby sprzeczne z planami przygotowania nowej wojny.

4. Mocarstwa zachodnie ignorują umowę poczdamską, która zobowiązuje wojska okupacyjne do wyrwania z korzeniami faszystwu i militarystyce i do umożliwienia budowy nowego, demokratycznego ładu w zjednoczonych Niemczech. To lekceważenie zasadniczych celów okupacji czyni armie zachodnie wojskami interwencyjnymi, po zostającymi w niezgodzie z prawem narodów.

Rząd Niemieckiej Republiki Demokratycznej oświadcza uroczysto, że posunięcie państw zachodnich sprzeciwia się życiowym interesom narodu niemieckiego, sprzeczne jest z umową poczdamską i nie posiada tym samym żadnej mocy prawnej i żadnej powagi międzynarodowej...

Obydwą omówione i cytowane przez nas dokumenty stanowią przejaw tego samego zjawiska — konsekwentnej walki o pokój, w której Niemiecka Republika Demokratyczna stoi zarówno ze względu na swoje ogólne położenie, jak i na swój cały charakter — na pierwszej linii.

Michał Jawor

**Osoby mogące udzielić jakichkolwiek informacji o Tadeuszu Rittnerze — jego życiu i twórczości oraz o możliwości kupna lub wypożyczenia jego utworów, a zwłaszcza dramatów — proszone są o skomunikowanie się z mgr Ireną Wrembel — Toruń — Kochanowskiego 6 m. 4. Informacje te oraz utwory Rittnera są konieczne potrzebne do pracy naukowej.**

FILM

# „W dni pokoju“

Film produkcji radzieckiej. Scenariusz I. Prut, reżyseria: W. Braun, fotografia: D. Domucki, muzyka: J. Mejtus.

**W DNI POKOJU** — to dobry, żywy, o dużych wartościach wychowawczych film sensacyjny. Filmowcy radzieccy już nie pierwszy raz dali dowód, że po to, by zbudować pasjonującą akcję, by utrzymać widza w napięciu, pokazać wielką i prawdziwą przegrodę, nie trzeba wprowadzać bzdurnych pomysłów i nieprawdziwych sytuacji. „W dni pokoju“ to znowu przykład wartościowego filmu sensacyjno-młodzieżowego.



Tematem jest życie marynarzy radzieckiej floty wojennej. Fabułę filmu stanowi historia akcji dywersyjnej, prowadzonej w czasie wielkich manewrów floty radzieckiej przez łódź podwodną działającą na rozkaz pewnego obcego mocarstwa. Fabuła doskonale zbudowana i udramatyzowana jest zwarta, prosta i jednolita. Przy sensacyjności i szybkim tempie, scenarzysta potrafił zachować proporcje między opisem rozwoju sytuacji, akcją, wypadkami i obrazem zaangażowanych w te wypadki ludzi. Pierwsze sceny filmu stanowiące żywą i barwną (nie tylko kolorystycznie ale i w przenośni) ekspozycję, zawiązując akcję służą jednocześnie przedstawianiu i zbliżeniu bohaterów filmu. Sceny, pokazujące atmosferę życia i pracy marynarzy, zbliżają jednocześnie psychologicznie bohaterów, indywidualizują ich zwyczajnie ale wymownie charakteryzując poszczególne postaci. Bardzo trafnie

wprowadzony zostaje konflikt niesforne go chłopca, który w miarę rozwoju akcji dojrze wa, rozwija się, uczy się wytrwałości, zaczyna rozumieć sens dyscypliny wojskowej i koniecznej, chociaż uciążliwej, codziennej pracy nad sobą. Ten wątek osobisty marynarza Panyczuka rozwiązany bez jakiegokolwiek dydaktyzmu, naturalny i żywy, ma dużą wymowę wychowawczą. Film jest historią wyczynu, wielkiej dramatycznej, niebezpiecznej „przygody”. „Sprawa Panyczuka” rozgrywa się jakby w atmosferze wyczynowości — pokazuje, że nie heroiczny zryw, ale wytrwały świadomy wysiłek prowadzi do

skuteczności heroizmu, że ten wytrwały wysiłek jest właśnie heroiczny i potrzebny. Przez cały czas trwania, przy szybkim tempie, film kładzie nacisk na ludzi — ich przeżycia i zachowanie, na to, że wypadki nie dzieją się same, a są zależne od człowieka. To duża zasługa scenarzysty. Dzięki temu pełna napięcia fabuła nie tylko pasjonuje, ale i wzrusza. Nie tylko interesuje, ale i uczy. Dobór wykonawców, gra całego zespołu na dobrym poziomie. Może niepotrzebna jest klamra scen rodzinno-osobistych na końcu, osłabiająca wrażenie doskonałej w pierwszym patosie sceny wynurzenia się uratowanej dzięki wysiłkowi załogi — łodzi podwodnej. Film na pewno będzie miał zasłużone powodzenie, i będzie stanowił „żelazną pozycję” młodzieżowego i nie młodzieżowego repertuaru naszych kin.

Leszcz

Wanda WEJTKO

# Liryka Kononowicza

Szlaki poezji bywają bardzo różne, niejednokrotnie trudne i kręte. Czasem są to wąskie ścieżki przeżyć wyłącznie osobistych, często, dziś coraz częściej — szerokie trakty spraw ogólnych, zagadnień społecznych.

„Stacje liryczne”<sup>1)</sup> Kononowicza leżą na tej drodze, która, będąc linią osobistych przeżyć ich autora, jest jednocześnie szlakiem spraw ogólnych. Stacjom tym na imię: „Modlitwa”, „Spowiedź”, „Powrót”; „Kieszonkowa mogiła”...

Poezja Kononowicza jest przede wszystkim poezją katolicką i to czyni ją katolicką — deklaratywną. Najdobitniej charakteryzuje to „Modlitwa pasterzy” z „Poematu betleemskiego”:

„Czekamy świtu co nas zbudzi  
Wolnych od wzgardy i kajdanów  
Chcemy jak ludzie między ludźmi,  
Mieć Ciebie Panie — a nie panów!”

— A więc prawdziwe, pełne wyzwolenie może dać człowiekowi tylko Bóg. Wiara, i tylko wiara jest drogą do poznania prawdy. Mówi o tym „Koleśka-kolysanka”, mówi wiersz „Kompas” będący jednocześnie wyrazem optymizmu poety, wyrazem jego stosunku wobec dokonujących się przemian, wyrazem chęci włączenia się do entuzjastycznego marszu młodych. Lecz:

„Jeśli stanę — to w cieniu kaplicy,  
Aby spojrzeć w twarz Bogarodzicy.  
W wierny Kompas — w drewniany  
krzyż, który mówi:  
— — — i wszszsz  
— — — i wżwżż,  
Który mówi, że prawda zwycięży  
Choćbyś z nią wiódł bój bez oręża.”

Temat bardzo absorbujący autora zbioru — to stosunek jednostki do zagadnień życia religijnego. Niektóre jego wiersze są wykładem zasad postępowania wierzącego katolika („Lasce naprzeciw”, „Modlitwa”); mówi poeta o wartości cierpienia („Katharsis”), o pokorze i przebaczeniu. W utworach religijnych — pozbawionych pierwiastka filozoficznego, Kononowicz popada często w banal. Jego wiersze maryjne różnią się od „podmuchów wietrzyka”, „pólnych kwiatów”, „westchnień”, „głębi”; „dał” i wielu podobnych lirycznych

wprawdzie, ale za to pozbawionych warłości artystycznej akcesoriów.

Okupacja, lata więzień, obozów, egzekucji ulicznych i wygnania ogromny wpływ wywarły na twórczość poetycką Kononowicza. Wiele swoich wierszy poświęca on tej właśnie tematyce, łącząc ją z zagadnieniami religijnymi, jak w „I.N.R.I.”, czy w „Kieszonkowej mogiłe”. Znajdziemy tam również liczne rysy autobiograficzne: obóz jeniecki, tęsknota za żoną i synem spleciona zawsze z żalem za oddaloną o setki kilometrów ojczyznę. Najbardziej udanym z tego typu utworów jest napisana z dużym wdziękiem „Kolysanka”:

Kolysaly się chmury na niebie,  
Kolysaly się lzy pod powieką —  
(Tak mi smutno, mój synku bez ciebie  
I tak bardzo do ciebie daleko).  
Kolysaly się trawy i zboże.  
(Nie widziałem cię nigdy maleńki)  
Kolysaly się gwiazdy w jeziorze  
(Nie wesz synku, co to znaczy tęsknić)...

Żywo przemawia do czytelnika „List” i „Wieczór Wigilijny w niewoli”.

W tej gałęzi swojej twórczości — szczerzej, zawierającej duży ładunek uczuciowy nie uniknął — niestety — poeta niebezpieczeństwa spływania z zagadnień, często banału. Wiele z tych wierszy, to cliche, „bogoojęzyczniane” wynurzenia w stylu poezji patriotycznej ubiegłego stulecia (nie będę wymieniać tu nazwisk naszych poczytywych, a szanowanych wierszokolektów). Oto np. „Nasza jesień”: leżące z drzew liście, pożegnanie z poległym kolegą, przyrzeczenia wierności:

„Spijże, spijże kolego,  
Zostaniemy ci wierni  
Jeszcze jesień niepełna  
Jeszcze został — październik.” (?)

(Nie rozumiem — dlaczego właśnie październik? Chyba po to, żeby było „do rymu”. Również — moim zdaniem — niedopuszczalna jest licentia poetica w dziedzinie gramatyki — dla rymu w cytowanym już fragmencie „Poematu betleemskiego”: „Czekamy świtu, co nas zbudzi wolnych od wzgardy i kajdanów” — (podkr. moje W.W.), po to, aby w następnym dwuwierszu mogła być końcówka „panów”.)

W bogatej pod względem poruszanych spraw, (jak się za chwilę przekonamy Kononowicz reaguje również żywo na zagadnienia aktualne) i bogatej ilościowo poezji znajdujemy wiersze dobre, o dużej ekspresji i ciekawie artystycznie. Prosta, oszczędność słów daje w wyniku wiersze takie jak „I.N.R.I.”, czy „Droga Krzyżowa”, gdzie poeta zrezygnował z opisu, a przy pomocy krótkich zdań, wykrzykników wywołuje w czytelniku obraz — może — tym silniejszy, że będący tworem jego własnej wyobraźni.

Nie zgadzam się z Wydawcami PAX-owskiego arkuśa Kononowicza, którzy w przedmowie twierdzą, że poezja jego, pozbawiona wszelkich ozdóbek, przemawia wyłącznie wprost. Każdy czytelnik „Górników”, czy „Szyfru o Ojczyźnie” dostrzeże tu bogactwo, nawet niejśmiałe przerosłe metafory:

„A tobie bracie serce trzepoce  
pod bluzą —  
Mrugasz powieką — ómy skrzydłem ciężkim od sadzy  
Czarny, kamienny chleb —  
nie schie i nie Muzom:  
Polsce i światu kruszysz diamentowe głązy.”  
(„Górnikom” — podkr. moje W.W.)  
Oto przykłady innych ozdóbek:

„Krzyż oparty ukośnie  
Ziemia razy niebo”.  
(„Szyfr o Ojczyźnie”)  
„Droga Krzyżowa”:  
„Padasz —  
stopy —  
kolana —  
twarz —  
Piasek napęczniał różowym wierzem...”

E. M.

„Ziemia pełnią na twarz upadła”. (Tu przypomina się Przyboś). Spotyka kamy również u Kononowicza chwyt polegający na posługiwaniu się rytmem w celu większego „urealnienia” opisywanego zjawiska. Przykładem będą tu wiersze z cyklu „Tańce” — pominięte zupełnie w zbiorze — gdzie poeta właśnie przy pomocy rytmu oddaje urok szalonego kozaka, oberka, czy ognistego mazura.

Jak już wspomniałam Kononowicz poezji swojej żywo reaguje na zagadnienia aktualne. W wierszach o Jeleniej Górze i „Wracamy” mówi o Ziemiach Odzyskanych, ich polskości, o starych piastowskich tradycjach. „Górnicy”, utwor zamykający — i słusznie — zbiorek PAX-owski świadczy, że sprawa walki o pokój nie jest obca autorowi „Stacji lirycznych”:

I wiesz: twój głos więcej waży —  
i niesie dalej,  
Silniejszy o chleb, którym  
ożywiają motory —  
Krzykniesz P O K O J — to jakbyś  
iskrą miał dynamit  
By pięścią ognia buchnął między  
oczy — wojnie.

Chcąc w jakiś sposób ocenić twórczość Kononowicza trzeba stwierdzić, że rozległej ich tematyce i bogactwu ilościowemu nie zawsze — niestety — odpowiada wartość artystyczna utworów; kilku wierszy naprawdę dobrych, trzeba szukać pośród mnóstwa pływających banalów.

Trzeba życzyć aby poeta w przyszłej swojej twórczości kontynuował tradycje „Kolysanki”, „Ballad i romansów” i „Kieszonkowej mogiły”, nie zaś głębokiego, co prawda, pod względem tematyki „Poematu betleemskiego”, nie mówiąc już o „Rozmowie z Matką Boską” czy „Naszą Jesienią”.

Wanda Wejtko

<sup>1)</sup> Maciej Józef Kononowicz — Stacje Liryczne. Warszawa 1951. „PAX” str. 15. W recenzji omawiam także wiersze publikowane w czasopiśmie „Dziś i Jutro” i w „Słowie Powszechnym”.

# Z dyskusji teatralnych

## W SEKCJI DRAMATU ZLP O FESTIWALU SZTUK WSPÓŁCZESNYCH

Ostatnie posiedzenie sekcji dramatu Związku Literatów Polskich z 10 października było posiedzeniem pół publicznym. Obok pisarzy dramatycznych z całego kraju wzięli w nim również udział nie-literaci, zarówno przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki i nie których instytucji społecznych, jak i ogół recenzentów teatralnych. Referat L. Kruczkowskiego i dyskusja, jaka się wokół niego wywiązała, a w której zabierali głos i przedstawiciele resortu z wicemin. J. Sokorskim, przyniosła podsumowanie wyników konkursu i Festiwalu i wysunęła pewne wnioski w sprawie aktualnej polityki teatralnej na odcinku sztuk współczesnych.

Oceniając w zasadzie konkurs na sztukę współczesną jako pomysł słuszny, poddano jednak krytyce niektóre szczegóły jego przeprowadzenia, przede wszystkim nadmierny liberalizm sądu konkursowego. Na 58 sztuk napisanych przez autorów na konkurs zakwalifikowano do wystawienia aż 25, w tym kilka uderzająco niefortunnych, które mimo to dochodziły nawet do finału Festiwalu. Z tych 25 sztuk wystawianych będzie w najbliższej przyszłości jedynie 13. Doświadczenia konkursu wiele nauczyły pisarzy dramatycznych, ale jakościowy jego plon pozostaje jeszcze daleko w tyle za ilościowymi osiągnięciami. Pisarze nie dali pełnej miary swych możliwości, ich dzieła wykazywały jeszcze poważne braki warsztatowe, a ich postać

cie, zbyt ubogie w osobiste treści ludzkie, nie były na ogół w stanie udźwignąć ważkiej problematyki

Organizacja Festiwalu sztuk współczesnych oceniona została jeszcze surowiej. Wprawdzie i Festiwal poważnie wzbogacił doświadczenie reżyserów, scenografów, aktorów, przedstawień jednak na wy sokim poziomie przyniósł niewiele. Czołowi reżyserzy, jak Schiller, Kozłowski, Wierciński, Dąbrowski nie wzięli właściwie udziału w Festiwalu. Sporo błędów popełniono też w zakresie współpracy teatrów z autorami.

Tuż po Festiwalu daje się zauważyć pewne odwrócenie się od współczesnej tematyki scenicznej, zarówno wśród autorów jak i w teatrach, może i winna to naprawić słuszna polityka repertuarowa. Jako ważny postulat dla przyszłości współczesnego dramaturgii wysunęto zadanie ściślejszej współpracy kolegium repertuarowego Dyrekcji Teatrów z sekcją dramatu Związku Literatów i z kierownikami literackimi teatrów.

## W SPATYPIE O „MIESZCZANACH” GORKIEGO

Statyf (Stowarzyszenie Polskich Autorów i Artystów Teatru i Filmu) postanowił przenieść niektóre ze swych niedzielnych zebrań dyskusyjnych do Domu Literatury. Zaczęto 14 października od dyskusji nad granami własnie w Teatrze Współczesnym „Mieszczanami” Gorkiego, dziełem, które zainteresować winno zarówno pisarzy jak i ludzi teatru.

Referat wstępny L. Gomolickiego umieścił „Mieszczan” na szer-

szym tle a) rozwoju dramatu rosyjskiego od Ostrowskiego i Czechowa, b) całego wczesnego dramaturgii Gorkiego, związanego z wpływami Czechowa i sugestiami Mchata. W dyskusji nad warszawską inscenizacją „Mieszczan”, poprzedzonej uwagami E. Csato (wypowiadał się i reżyser przedstawienia E. Axer) znalazł się głos przemawiający za wzmocnieniem grupy postaci pozytywnych sztuki i zarzowaniem wyraźniejszego, ostrzejszego konfliktu klasowego w bardziej zbliżonym do dzisiejszego rozumieniu. Większość dyskusyjantów podtrzymała jednak koncepcję inscenizatora, która zachowując właściwe proporcje i sens ideowy sztuki, leniej podkreśla wielość i głębię obrazu i wydobycia klimat Gorkiego.

Wypowiedź L. Schillera, który przedstawił samokształcenie i wydawnicze plany Spatifu, pozwala mieć nadzieję, że przyszłe dyskusje będą lepiej przygotowane i bardziej ożywione niż ostatnia. Przewidywane również zamknięte seminarium dla reżyserów i aktorów poświęcone będą m. in. systemowi Stanisławskiego, inscenizacji „Wesela”, zagadnieniom historii teatru polskiego. Z tej ostatniej dziedziny ukazały się nowe prace — przy współudziale czołowych polonistów i sekcji teatru Państwowego Instytutu Sztuki. M. in. ukazał się ma Antologia polskiej krytyki teatralnej od XVIII w. Wkrótce też wydawany będzie kwartalnik teatrologiczny pt. „Pamiętnik Teatralny”.

E. M.

## NOWOŚCI

### Ks. Prof. EUGENIUSZ DĄBROWSKI „STUDIA BIBLIJNE”

- I. Znaczenie Encykliki Piusa XII o studiach biblijnych.
- II. Biblia i archeologia: Odkrycia tekstów z Ras Szammra.
- III. W trzy lata po odkryciu manuskryptów hebrajskich.
- IV. Hermeneutyka biblijna na przełomie. Na marginesie „Encykliki „Humani Generis”.
- V. Orygenes w świetle nowych badań.
- VI. Pochodzenie człowieka według Pisma Świętego.
- VII. Nowy Psalterz w ogniu dyskusji.
- VIII. Problemat aramajskiej Pra-Ewangelii.
- IX. Sprawa Całunu Turyńskiego.
- X. Wniebowzięcie Matki Bożej w świetle Pisma św.
- XI. Język pierwotny listu do Hebrajczyków.
- XII. św. Paweł Apostoł a helinizm.

CENA: ZŁ. 22.—

INST. WYD. „PAX”  
BIURO SPRZEDAŻY  
WARSZAWA,  
MOKOTOWSKA 43  
P.K.O. I-8515.

# S A M O C H Ó D

Jechałem sobie z Miecikiem w tramwaju. Nawet przyjemnie się gawędziło. Tylko, muszę przyznać, przeskadzano nam odrobinę. Bo to najpierw Miecikowi jakiś pan pa rasciem zaczepił o szelki, no i szelki, rzecz prosta, poszły, wobec czego Miecio grzecznie zwrócił uwagę temu panu, że wsiadanie do tramwaju przy pomocy zahaczenia rączki od parasola o zwarty tłum i podciąganie się następnie po stopniach jest prostackim przenoszeniem metod alpinistycznych na stosunki wielkomiejskie, a tym samym stanowi niezdrowy oportunizm, którego skutki wyrażają się w zwiastujących jak chomąto szelkach na szyi osób poszkodowanych, a nogawki tychże osób miast odświeżać kolorowe skarpetki wykazują wybitną tendencję zniżkową.

Miecio chciał mówić coś jeszcze, ale ponieważ w tym momencie ktoś chwycił go w tak zwany „krawat”, zabalgotał, posiniał i zamilkł.

— Przepraszam pana — zwróciłem się do stojącego na stopniu nowego pasażera — ale pan zdaje się nie zauważyć, że dusi pan człowieka.

— Kto dusi? Co pan, na głowę upadł? Więc pan uważa, że mam puścić poręcz i wylecieć na bruk jak fortepian Chopina? Co? Wesołek, psiakrew!

— Nie o tym wcale mówiłem — zaprzeczyłem gwałtownie. — Chciałem tylko nadmienić, że między pańskim ugiętym przedramieniem a poręczą, którą pan dzięrzy, tkwi szejka mego przyjaciela, w związku z tym jeszcze raz kategorycznie pana proszę...

Teraz ja przerwałem, ponieważ do wagonu weszła, a raczej usiłowała wejść jakaś pani ze szcztoką. Domyśliłem się, że chodzi o szcztokę, ponieważ kij wśliznął mi się pod marynarkę i wysunął się pomiędzy kornierzykiem koszuli a kornierzem marynarki. Tramwaj drgnął. Poczuliśmy jak jakaś dłoń chwyciła za kij poza moją głowę. Zdawało mi się, że marynarka zleździe ze mnie lada chwila, ale kij wśliznął się z owej dłoni i wyrzucił mnie w kość potyliczną (os occipitale) z taką siłą, że w jednej

sekundzie przypominałem sobie iż jednostką siły jest dyna, która w ilości 10<sup>6</sup> stanowi megadyne.

W chwili potem znów chwyciono za kij, tym razem oburącz. Ktoś wciągnął się wyraźnie na pomost. Usiłowałem obrócić głowę, ale marynarka pękła w szwie, kij wyzwolił się z uwlezi, a wraz z nim jakaś stukilogramowa osoba potoczyła się na jezdnię. Dwa przystanki dalej wypchnięto nas razem z Miecikiem i tramwaj mimo naszych protestów odjechał dzwoniąc drwiącym i radośnie.

Wtedy to właśnie zapadła owa historyczna decyzja. Spojrzeliśmy na siebie. Moja marynarka składała się z dwóch będących swoim zwierciadlanym odbiciem części, Miecikowi zaś przydeptano jedną z opuszczonych nogawek, co w efekcie pozbaawiło ją kawałka stuprocentowej wełny o wymiarze 10x17 cm.

— Mieciku! — powiedziałem zwołna, ważąc słowa — kupię sobie DeKaWkę. Nie będę więcej popierał Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, które nie doceniło mojego wkładu w jego rozwój i rozkwit.

Rzecz zrozumiała, że samochód kosztuje. Kosztuje oczywiście wiele zdrowia, nerwów, a poza tym pieniędzy. Postanowiłem działać rozsądnie, oszczędzając wszystkiego. Przystąpiłem do spółki, Henio, Jurek i ja. Wspólny wkład, wspólne korzystanie z wozu. Dziesięć dni w miesiącu jeżdżę własnym samochodem. Gwiżdżę na Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne, nie wrusza mnie tók w autobusach, ani ścisł w tramwajach, igno ruje spadające pałaki trolleybusowe. Świat należy do mnie z DeKa Wką włącznie.

Po przebyciu morza formalności miałem samochód. Stałem się innym człowiekiem. Przede wszystkim zyskałem niespodziewane powodzenie u pięci pięknej na terenie biura, a poza tym niesłychanie polepszyły się moje stosunki z redakcją. Koleżanki mówiły do mnie per „koteczku”, a redaktor „mój złoty panie”, albo „drogi kolego, niechże pan będzie łaskaw”.

Przez tydzień byłem czołową osobą w instytucji. Całkiem niespodziewanie panna Lala podkreśliła, że dopiero, gdy się jej z oczu jak z porannych niebios ośma zdarła smutna, spóstrzęgła, że właściwie jestem niesłychanie miły, przy stojny i inteligentny. Wożny, podając mi kapelusz powiedział „służyć, panie naczelniku”. Z wrażenia wypuściłem kapelusz i schyliłem się po niego wraz z wożnym, zderzaliśmy się głowami, nabijając sobie po jednym guzle wielkości indyjskiego jaja.

Jednakże po uwerturze przyszedł akt pierwszy.

Pewnego dnia wezwał mnie redaktor.

— Mój złoty panie Antoni — zaczął — niechże pan siada. Może Grunwalda?

— Dziękuję. Czyn mogę panu służyć?

— Pan jest jednym z naszych lepszych pracowników — zaczął redaktor.

— Robi się — uśmiechnąłem się zakłopotany, przypomniałszy sobie o zaległej robocie — robi się, panie redaktorze jak najsolidniej.

— Radbym kiedyś zobaczyć pana na kawce u siebie. Chciałbym przedstawić pana mojej żonie i córce.

— Nie mały to zaszczyt, panie redaktorze, dla tak skromne...

— Ależ, ależ... dajcie spokój, kolego Antoni, skończyły się te czasasy, kiedy... No pan rozumie... demokracja — westchnął jakoś z rozczuleniem.

— Owszem — przyznałem — ale zawsze...

— No, to do zobaczenia chwilowo — wyciągnął do mnie rękę. — Ach! Jeszcze jedna sprawa. Niech pan mi powie. Czy na sobotę i niedzielę nie mógłby pan wypożyczyć mi swego wozu? Widzi pan, teściowa telefonowała z Plocka, że rada

by zobaczyć nas kiedys, a to tak się składa akurat... pan wie zresz jak to z tą naszą komunikacją.

— Do Plocka możnaby Wisłą — rzuciłem niebacznie — jabłka galarami wożą i tego...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się jakoś oschle redaktor — pan ma zna komite poczucie humoru, psiakrew!

— Co się stało?!

— Nic postawiłem sobie przycisk na palcu. No więc, czy nie mógłby pan na sobotę i niedzielę...?

— Mogłem.

— Pani Anteczku — zaczęła mnie na korytarzu Lala — hłech pan na mnie zaczeka przed wyjściem, mam bardzo, ale to bardzo ważną sprawę do pana.

— Z rozkoszą — powiedziałem, jak ostatni idiota i pocałowałem jej uperfumowaną rączkę. Poszliśmy do kawiarni.

— Jesień ma dla mnie tyle uroku, że nie wiem! — powiedziała Lala, gdy usiedliśmy przy stoliku.

— Ja też...

— No oczywiście i pan też ma tyle uroku.

— Nie — zaprzeczyłem — chciałem powiedzieć, że ja też nie wiem. Uśmiechnęła się, pokazując wszystkie prawdziwe i sztuczne zęby.

— A wie pan co najbardziej uwielbiam w jesieni. Dla mnie kawa, trzy ciastka, lody, ale, ale... Może macie tu jakieś likiery?...

Poczułem dreszcze.

— O czym to ja mówiłam? Ach, że najbardziej lubię jechać samochodem przez drogę wysadzaną klonami i patrzeć jak leżą złote liście. Tak mi wtedy smutno, taka jestem jakaś sama i mała...

— Dałbym wiele, żeby zobaczyć panią kiedys w moim samochodzie — wyseplenłem, jak każdy osioł.

— Wie pan, że pańskie marzenia nie są dalekie od spełnienia. Gdyby pan mógł pożyczyć mi w płatek samochód, to bardzo chętnie pojechałbym. Umówiłbym się z kuzynem... No, niech pan tak nie patrzy z kuzynem. Naprawdę z kuzynem. Mamy jechać do jego... to jest do mojej... znaczy, do naszej babcji. Roman wspaniale prowadził samochód, tak, że może się pan nie obawiać. No, panie Anteczku, czy może pan to dla mnie... niech pan mi spojrzy w oczy... Czy może pan to dla mnie zrobić? Mogłem.

W czwartek spotkałem się z Miecikiem w tramwaju. Zbierał oderwane guziki od marynarki i nadebnałem mu na rękę, ponieważ pchnięto mnie tak z tyłu, że wybiłem szybę okienną, rozdzierając rękaw i kalecząc rękę.

— Serwus! — powitał mnie Miecio. — Słyszałem, że masz samochód. No i jak ci się jeździ?

— Tramwajem? — spytałem, ta mując brocząca krew.

— Nie, DeKaWka?

— Nie jechałem nią jeszcze ani razu — przyznałem cicho.

— No, to w ogóle nie wiesz, że masz samochód.

— Wiem.

— Wiesz! Dobre sobie! Skąd, skoro nigdy nie mozesz nim pojechać?

— Stąd wiem, że płace dziewięć set złotych miesięcznie za Henia i Jurka, bo im się coś załatwiło z gotówką i odżyliam się suchym chlebem i solą. Ale, Mieciku! Może kupiłbyś ode mnie samochód?

— Kupić, to nie. Ale chętnie bym go od ciebie pożyczył na poniedziałek.

— Czy mógłbyś... Nie mogłem... nie załkać jak dziecko.

ZUK

## O wszystkim po trochu

AMERYKAŃSKA REKLAMA

GENIALNY WYNALEZEK PROF. RICCI

Kino „Arco” w New Yorku zostało poświęcone na „Przebytek okropności”. Pomysłowy dyrektor przyciąga publiczność nie tylko „mrozącymi krew w żyłach” filmami ale także odpowiednią obmyślaną scenografią reklamową. Zapowiadając otwarcie tego swistego kącika amerykańskiej kultury dyrektor obiecuje publiczności atmosferę wywołującą strach u najodważniejszych, a osiągniętą dzięki zręcznemu rozmieszczeniu kościotrupów naturalnej wielkości nie tylko w sali kinowej ale w palarni, nad bufetem i w pocze kalni, czaszek z barwnie oświetlonymi oczodołami, szeleszczących

Włoski profesor chemii Albert Basso Ricci ukończył pracę nad budową aparatu, który dostarcza miłośnikom filmu najrozmaitszych sensacji związa-



nych z akcją na ekranie. Stosownie więc do wyświetlanego obrazu na zaciemnionej sali zapanuje podbiegunowy chłód lub podzwrotnikowy żar, albo spadnie ulewny deszcz. Profesor Basso oświadczył, że jeśli się widzi i słyszy, to nie ma żadnego powodu, dlaczego nie miało by się czuć. „Dzięki mojemu aparatowi czuje się zapach kawy, koniaku, truskawek, ryby, czekolady, wina lub kadzidła (w filmach religijnych) a nawet sześćoiletne dziecko potrafi się z nim obchodzić”. A my czujemy kłó tej historii bardzo brzydki zapach...

AMERYKAŃSKIE REKORDY

Amerycanie lubią wszelkiego rodzaju statystyki. Nie więc dziwnego, że amerykański urząd celny ogłasza



zastłon, skrzypiących podłóg, trumien i trumienek, wieńców, kłębow dymu i różnych podobnych atrakcji. Pozostaje tylko wyrazić obawę, że niedługo środki reklamowe mające przyciągnąć publiczność na amerykańskie filmy rozrosną się tak bardzo, że film stanie się małym dodatkiem.

BRYTYJSKIE ODSZKODOWANIA

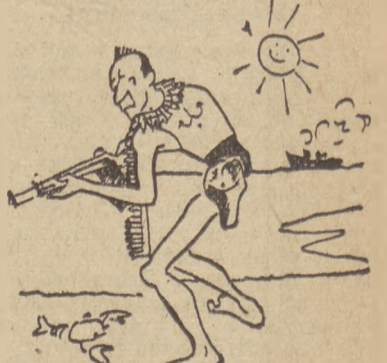
W rku 1950 żołnierze brytyjscy zabrali z pola pewnemu chłopcu z miejscowości Rohlfen powiatu Harburg w Dolnej Saksonii, równie 12 centnarów kartofli. Władze sądzące przyznały mu



co roku statystykę obiektów wprowadzanych na terytorium Stanów Zjednoczonych. W statystyce tej można przeczytać, że w okresie 1940—1950 przyjechało do Ameryki 103,029 obrazów Corota, 9,448 Rembrandtów i ponad 100.000 obrazów Watteau. Przypomina się powiedzenie Irzykowskiego: „Istnieje w ogóle około 1.000 Corotów, z czego 3.000 znajduje się w Ameryce”.

STROJ PLAZOWY

Jak donosi francuska „Action” Ambasador Amerykański przy rządzie Franco, Stanton Griiffs, przychodzi ostatnio na plażę w kostiumie kąpielowym i... z trzydziestoosmiostrzałowym automatem. Na pytanie plażowiczów, zdziwionych tym niezwykle



48 marek odszkodowania. Ale otrzymany przez chłopca przekaz pocztowy opiewał na sumę tylko 44 marek. Chłopu oświadczone, że brakujące 4 marki zostały mu odrzucone, gdyż nie potrzebował on w czasie zbiorów optować więcej pracowników dzięki temu, że Angli zabrali mu 12 centnarów kartofli.

To się nazywa zmysł interesu.

GROZBA

Głośny ze swej antykomunistycznej kampanii senator Mac Carthy zamierza kandydować w najbliższych wyborach



na prezydenta w USA. Podał już nawet do wiadomości swój główny slogan wyborczy: usunąć komunistów, którzy rządzą obecnie w USA, zajmując wszystkie najwyższe urzędy. Biedny Truman et consortes...

dodatkiem do kostiumu, odpowiedział, iż został uprzedzony przez policję, że przygotowuje się zamach na jego życie. Jak to mówią, nieczyste sumienie i strach mają wielkie oczy.

PRZYJACIELSKIE ROZMOWY

Bernard Baruch, twórca planu kontroli przez USA energii atomowej na całym świecie, powrócił ostatnio „z prymatnej podróży”, w czasie której spotkał się ze swoim starym przyjacielem, Winstonem Churchilllem. Rozmawialiśmy tylko o koniach, a w ogóle nie poruszaliśmy spraw politycznych — oświadczył Baruch. Chyba nawet koń w to nie uwierzy

**SP. WYD. „PAX”**  
**INST. WYD.**  
**BIURO SPRZEDAŻY**

**WYSYŁA**

**NOWY TESTAMENT**

Przekład Ks. Prof. DĄBROWSKIEGO CENA 24 zł.

**K. WRÓBLEWSKIEJ**  
**TEKE DRZEWORYTÓW**  
**„OJCZE NASZ”**  
 Cena 36 zł

**G. Bernanos**  
**PAMIETNIK**  
**WIEJSKIEGO PROBOSZCZA**  
 Cena 27 zł

**Aleksander Rymkiewicz**  
**PRZYGODY GUCIA PINGWINA**  
 Cena 10 zł.

**Juliusz Nowak-Dłuzewski**  
**ST. KONARSKI**  
 Człowiek i dzieło Cena 20 zł.

**Graham Greene**  
**BRON NA SPRZEDAŻ**  
 Cena 22 zł.

**Bruce Marshall**  
**CHWAŁA CORY KROLEWSKIEJ**  
 Cena 20 zł

**WIERSZE ARKUSZE POETYCKIE**  
 Cena 12 zł.

**Jan Dobraczyński**  
**KŁUCZ MADROŚCI**  
 Cena 32 zł

**K. G. Chesterton**  
**PRZYGODY KS. BROWNA**  
 Nowele Cens 18 zł

**Paweł Jastenia**  
**WISŁA POZEGNA ZAŚCIANEK**  
 Reportaże Cena 20 zł.

**PO WPLACIE NA KONTO PKO**  
 I-85-15

**SP. WYD. „PAX” INST. WYD**  
**W-WA, UL. MOKOTOWSKA 43**  
 Tel. 880-26